

A person in a dark coat and hat, carrying a bag, walks away from the camera between two large, classical stone columns. The ground is paved with large stones, and the background is a misty, overcast landscape with some trees visible in the distance.

**FERDINAND
VON SCHIRACH**

**SPRAWA
COLLINIEGO**

Ferdinand von Schirach

SPRAWA COLLINIEGO

przełożyła Anna Kierejewska



Tytuł oryginału: *Der Fall Collini*

Copyright © 2011 by Piper Verlag, GmbH, München

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Wydanie I

Warszawa

Wszyscy jesteśmy stworzeni do tego, co robimy.

Ernest Hemingway

Później wszyscy będą przywoływać to w pamięci: kelner obsługi hotelowej, dwie starsze panie z windy, małżeństwo z korytarza na czwartym piętrze. Powiedzieli, że mężczyzna był potężny, i wszyscy wspominali zapach potu.

Collini wjechał na czwarte piętro. Odszukał pokój numer czterysta, „Apartament Brandenburski”. Zapukał.

– Tak? – Mężczyzna stojący w drzwiach miał osiemdziesiąt pięć lat, ale wyglądał na dużo młodszego, niż Collini się spodziewał. Po jego karku spływał pot.

– Dzień dobry, Collini z „Corriere della Sera” – powiedział niewyraźnie i zastanawiał się, czy mężczyzna nie zażąda jakiejś legitymacji.

– Tak, miło mi, proszę wejść. Najlepiej będzie, jeśli przeprowadzimy wywiad tutaj. – Mężczyzna podał rękę Colliniemu. Ten cofnął się, nie chciał go dotykać. Jeszcze nie w tym momencie.

– Spociłem się – powiedział Collini. Zdenerwowało go, że to powiedział, te słowa wypowiedziane na głos zabrzmiały dziwnie. Nikt by czegoś takiego nie powiedział, pomyślał.

– Tak, bardzo dziś parno, pewnie niedługo będzie padać – odparł mężczyzna przyjaźnie, ale to wcale nie była prawda. W hotelowych pomieszczeniach panował chłód, klimatyzacja pracowała niemal bezgłośnie. Weszli do pokoju z beżowym dywanem, ciemnymi meblami, dużymi oknami, wszystko porządne i drogie. Z okna Collini widział Bramę Brandenburską, wydało mu się, że znajduje się ona dziwnie blisko.

Dwadzieścia minut później mężczyzna był martwy. W jego potylicę zostały wystrzelone cztery pociski, jeden z nich obrócił się w mózgu i wyleciał, rozrywając połowę twarzy. Krew wsiąkała w beżowy dywan, ciemna plama powoli stawała się coraz większa. Collini odłożył pistolet na stół. Stał obok mężczyzny, przyglądał się starczym plamom na wierzchu jego dłoni. Obrócił ciało nogą. Nagle obcasem wałnął mężczyznę w twarz, spojrzał na niego, potem kopnął raz jeszcze. Nie mógł przestać, kopał raz za razem, krew i rozgnieciony mózg bryzgały na jego nogawki, dywan i ramę łóżka. Lekarz medycyny sądowej nie był w stanie dojść liczby zadanych razów, kości policzkowe, szczęki, nosa i czaszki zostały złamane pod

wpływem uderzeń. Collini przestał dopiero wtedy, kiedy od buta oderwał mu się obcas. Usiadł na łóżku, pot spływał po jego twarzy. Tętno uspokajało się powoli. Czekał, aż oddech znów będzie miarowy. Wstał, przeżegnał się, wyszedł z pokoju i windą zjechał na parter. Utykał, bo but był bez obcasa, wystające gwoździe zgrzytały o marmur. Młodej kobiecie stojącej za kontuarem w lobby powiedział, żeby zadzwoniła po policję. Zadawała pytania, gestykulowała. Collini odpowiedział tylko: „Pokój numer czterysta, on nie żyje”. Obok niego stała elektroniczna tablica, na której było napisane: „23 maja 2001, godzina 20.00, Sala Szprewska, Niemiecki Związek Przemysłu Maszynowego”.

Usiadł na jednej z niebieskich sof w lobby. Kelner spytał, czy coś mu podać, Collini nic nie odpowiedział. Wbił wzrok w podłogę. Na marmurze w windzie można było dostrzec ślady jego butów, prowadzące do samego apartamentu. Collini czekał, aż go aresztują. Czekał całe życie, zawsze w milczeniu.

Dyżur adwokacki, adwokat Caspar Leinen. – Na ekranie telefonu wyświetlił się jeden z numerów sądu karnego.

– Sąd rejonowy Tiergarten, moje nazwisko Köhler, jestem sędzią śledczym. Mamy tu podejrzanego bez obrońcy. Prokuratura złożyła wniosek o wydanie nakazu aresztowania w związku z podejrzeniem popełnienia morderstwa. Ile zajmie panu dotarcie do sądu?

– Jakies dwadzieścia pięć minut.

– Dobrze, podejrzany zostanie doprowadzony w ciągu czterdziestu minut. Proszę zgłosić się do pokoju dwieście dwanaście.

Caspar Leinen odłożył słuchawkę. Podobnie jak wielu innych początkujących adwokatów wpisał się na listę dyżurów organizowanych przez Związek Obrońców. Adwokaci dostawali na weekend telefon komórkowy i musieli stale być w gotowości. Numer tego telefonu był znany policji, prokuraturze i sędziom. Władze dzwoniły, jeśli ktoś został zatrzymany i zażądał obrońcy. W ten sposób młodzi adwokaci dostawali swoich pierwszych klientów.

Leinen był adwokatem od czterdziestu dwóch dni. Po drugim egzaminie państwowym przez rok włóczył się po świecie, jeździł po Afryce i Europie, zatrzymując się przeważnie u znajomych z czasów szkolnych, z którymi mieszkał w internacie. Od paru dni przy drzwiach wejściowych do budynku wisiała tabliczka: „Caspar Leinen – adwokat”. Wydawało się to trochę pompatyczne, ale mimo to mu się podobało. Dwupokojowa kancelaria znajdowała się w oficynie przy bocznej ulicy odchodzącej od Kurfürstendamm. Nie było wprawdzie windy i klienci musieli wchodzić na górę wąską klatką schodową, jednak Leinen czuł się tam swobodnie i pracował na własny rachunek.

Było niedzielne przedpołudnie, od paru godzin sprzątał biuro. Wszędzie leżały pootwierane kartony, krzesła dla klientów kupił na pchlim targu, a metalowa szafa na akta stała zupełnie pusta. Biurko podarował mu ojciec.

Po telefonie od sędziego Leinen zaczął szukać marynarki. Znalazł ją pod stosem książek. Z okiennej klamki zdjął nową togę, wepchnął ją do aktówki i wybiegł. Dwadzieścia minut później stał w pokoju sędziego śledczego.

– Adwokat Leinen, dzień dobry, dzwonił pan do mnie. – Był lekko zdyszany.

– Ach, tak, z dyżuru, zgadza się? Dobrze, dobrze. Köhler. – Sędzia wstał, by podać mu rękę. Miał około pięćdziesięciu lat, szara melanzowa marynarka, okulary do czytania. Wyglądał na sympatycznego, może trochę roztargnionego. Było to jednak mylne wrażenie.

– Collini, sprawa o morderstwo. Chce pan teraz porozmawiać ze swoim klientem? I tak musimy poczekać jeszcze na prokuratora. Kierownik departamentu, prokurator naczelny Reimers, pomimo weekendu zjawi się osobiście... Cóż, pewnie chodzi o raport. Więc chce pan rozmawiać z klientem?

– Chętnie – powiedział Leinen. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego ta sprawa o morderstwo jest tak ważna, że Reimers pojawi się osobiście, ale kiedy posterunkowy otworzył drzwi, przestał o tym myśleć. Zaraz za nimi znajdowały się strome, wąskie, kamienne schody prowadzące w dół. Tędy z więzienia do sędziego przyprowadzano zatrzymanych. Na pierwszym podeście w półmroku stał ogromny mężczyzna, który opierał się o pomalowaną wapnem ścianę i prawie całkowicie zasłaniał głową jedyną lampę. Jego założone z tyłu ręce skrupowane były kajdankami.

Strażnik przepuścił Leinena i zamknął za nim drzwi. Leinen został z mężczyzną sam.

– Dzień dobry, nazywam się Leinen, jestem adwokatem. – Na podeście było mało miejsca, mężczyzna stał za blisko.

– Fabrizio Collini. – Mężczyzna popatrzył na Leinena tylko przez chwilę. – Nie potrzebuję adwokata.

– Potrzebuje pan. Prawo mówi, że w takim wypadku musi pana bronić adwokat.

– Nie chcę się bronić – powiedział Collini. Twarz też miał ogromną: szeroki podbródek, wąskie usta, masywne czoło. – Zabiłem tego mężczyznę.

– Zeznawał pan już na policji?

– Nie – powiedział Collini.

– Więc powinien pan teraz milczeć. Zaczniemy mówić dopiero wtedy, kiedy zapoznam się z aktami.

– Nie chcę mówić. – Collini miał głęboki i obcy głos.

– Jest pan Włochem?

– Tak. Ale od trzydziestu pięciu lat mieszkam w Niemczech.

– Mam powiadomić pańską rodzinę?

Collini nie spojrzał na niego.

– Nie mam rodziny.

– Przyjaciół?

– Nie mam nikogo.

– Więc zacznijmy.

Leinen zapukał, strażnik otworzył drzwi. Prokurator naczelny Reimers siedział już przy stole w sali posiedzeń; Leinen krótko się przedstawił. Sędzia wyciągnął teczkę z piętrzącego się przed nim stosu. Collini usiadł na drewnianej ławce za niskimi barierkami, obok niego stanął strażnik.

– Proszę zdjęć oskarżonemu kajdanki – powiedział Köhler. Strażnik rozpiął je, Collini rozmasował sobie nadgarstki. Leinen nigdy nie widział tak wielkich dłoni.

– Dzień dobry. Nazywam się Köhler, będę dzisiaj sędzią śledczym w pańskim postępowaniu. – Wskazał na prokuratora. – To jest prokurator naczelny Reimers, swojego obrońcę już pan zna. – Chrząknął, jego ton stał się rzeczowy, mówił teraz bez jakichkolwiek emocji: – Fabrizio Collini, znalazł się pan tu, gdyż prokuratura złożyła przeciwko panu wniosek o nakaz tymczasowego aresztowania w związku z podejrzeniem popełnienia morderstwa. Dziś zdecyduję, czy wydam nakaz aresztowania. Czy wystarczająco rozumie pan niemiecki?

Collini przytaknął.

– Proszę podać pełne imię i nazwisko.

– Fabrizio Maria Collini.

– Kiedy i gdzie się pan urodził?

– Dwudziestego szóstego marca 1934 roku w Campomorone pod Genuą.

– Narodowość?

– Włoska.

– Gdzie jest pan zameldowany?

– W Böblingen, Taubenstraße 19.

– Jaki zawód pan wykonuje?

– Jestem narzędziowcem. Trzydzieści cztery lata pracowałem w Daimlerze, ostatnio jako majster. Od czterech miesięcy jestem na emeryturze.

– Dziękuję. – Sędzia podał Leinenowi składający się z dwóch stron wydrukowanych na czerwonym papierze nakaz aresztowania, przesuwając go po stole. Nie był jeszcze podpisany. Informacje pochodziły z raportu Wydziału Zabójstw. Sędzia odczytał dokument. Fabrizio Collini miał spotkać Jean-Baptiste'a Meyera w apartamencie numer czterysta w hotelu Adlon i zabić go czterema strzałami w tył głowy. Według raportu jeszcze nie składał wyjaśnień, ale jego вина ma mu zostać udowodniona na podstawie odcisków palców z broni, śladów krwi z jego ubrania i butów, pozostałości prochu na jego dłoniach oraz zeznań świadków.

– Panie Collini, zrozumiał pan zarzut?

– Tak.

– Zgodnie z prawem od pana zależy to, czy ustosunkuje się do zarzutów. Jeśli postanowi pan milczeć, nie może to być wykorzystane przeciw panu. Może pan składać wnioski dowodowe, na przykład wskazać świadków. W każdej chwili ma pan prawo naradzić się z adwokatem.

– Nie mam nic do powiedzenia.

Leinen nie mógł oderwać wzroku od dłoni Colliniego.

Köhler zwrócił się do protokolantki:

– Proszę zapisać: oskarżony nie chce złożyć wyjaśnień. – Leinena natomiast zapytał: – Czy chce pan wyjaśnić coś w imieniu podejrzanego, panie obrońco?

– Nie. – Leinen wiedział, że w tym momencie nie ma sensu niczego mówić.

Sędzia Köhler odwrócił krzesło w stronę Colliniego.

– Panie Collini, wydaję nakaz aresztowania, który przed chwilą panu odczytałem. Może pan złożyć zażalenie na moją decyzję lub wnieść o zbadanie podstaw zasadności zastosowania tymczasowego aresztowania. Proszę omówić to ze swoim adwokatem – mówiąc to, podpisywał nakaz aresztowania. Potem spojrział na Reimersa i Leinena. – Jeszcze jakieś wnioski? – spytał.

Reimers pokręcił przecząco głową i zebrał akta.

– Tak, składam wniosek o udzielenie wglądu do akt – powiedział Leinen.

– Zostało to zapisane w protokole. Coś jeszcze?

– Wnoszę o sprawdzenie zasadności zastosowania tymczasowego aresztowania na posiedzeniu.

– Również zapisane.

– Wnoszę też o przydzielenie mnie oskarżonemu jako obrońcy z urzędu.

– Już? No dobrze. Czy prokuratura ma zastrzeżenia? – zapytał Köhler.

– Nie – odpowiedział Reimers.

– Wydaję więc następujące postanowienie: adwokat Leinen zostaje w tym postępowaniu przydzielony oskarżonemu Fabrizio Colliniemu jako obrońca z urzędu. Czy to wszystko?

Leinen skinął. Protokolantka zabrała z drukarki kartkę i podała ją Köhlerowi. Ten spojrział pobieżnie na wydruk i przekazał go Leinenowi.

– To protokół z posiedzenia. Proszę dać go swojemu klientowi do podpisu.

Leinen wstał, przeczytał pismo i położył je na drewnianym pulpicie przymocowanym do barierki przed ławą oskarżonych. Do pulpitu na cienkim sznurku przytwierdzony był długopis. Collini oderwał go, wyjąkał

„przepraszam” i podpisał dokument. Leinen oddał go sędziemu.

– Więc dzisiaj to by było na tyle. Strażnik, proszę wyprowadzić pana Colliniego. Do widzenia, panowie – powiedział sędzia. Strażnik zapiął kajdanki na nadgarstkach Colliniego i razem opuścili gabinet. Leinen i Reimers wstali.

– Ach, panie Leinen – powiedział Köhler. – Proszę zostać jeszcze chwilę.

Leinen odwrócił się w drzwiach. Reimers opuścił pokój.

– Nie chciałem pytać przy pańskim kliencie, ale jak długo jest już pan adwokatem?

– Około miesiąca.

– Czy to pańskie pierwsze wydanie nakazu aresztowania?

– Tak.

– Więc ułatwię to panu. Proszę być tak miłym i rozejrzeć się po pokoju. Czy widzi pan tu gdzieś publiczność?

– Nie.

– Dobrze pan widzi. Nie ma jej tu, nigdy nie było i nie będzie. Ani ogłoszenie nakazu aresztowania, ani badanie podstaw aresztowania nie odbywa się jawnie. Jeszcze pan o tym nie zapomniał, prawda?

– ...tak.

– Więc dlaczego, do licha, będąc w moim gabinecie, ma pan na sobie togę?

Sędzia przez chwilę jakby delektował się niepewnością Leinena.

– Już dobrze, będzie pan następnym razem wiedział. Powodzenia podczas obrony. – Köhler wziął ze stosu akta.

– Do widzenia – wymamrotał Leinen. Sędzia nie odpowiedział.

Za drzwiami stał Reimers i czekał.

– Akta może pan odebrać we wtorek z mojego sekretariatu, panie Leinen.

– Dziękuję.

– Czy nie był pan u nas aplikantem?

– Tak, byłem, dwa lata temu. Zostałem niedawno dopuszczony do wykonywania zawodu.

– Przypominam sobie – powiedział Reimers. – I od razu sprawa o morderstwo, gratuluję. Choć to beznadziejny przypadek dla obrony... Ale od czego trzeba przecież zacząć.

Reimers pożegnał się i zniknął w bocznym skrzydle. Leinen powoli szedł korytarzem w kierunku wyjścia. Cieszył się, że jest wreszcie sam. Przyglądał się dekoracjom nad drzwiami, płaskorzeźbom z gipsu; jedna z nich

przedstawiała białego pelikana rozszarpującego dziobem swoją pierś, żeby krwią nakarmić młode. Usiadł na ławce, przeczytał raz jeszcze nakaz aresztowania, zapalił papierosa i rozprostował nogi.

Od zawsze chciał być adwokatem. Podczas aplikacji pracował w jednej z dużych kancelarii prawa gospodarczego. W tygodniu po egzaminie dostał cztery zaproszenia na rozmowy kwalifikacyjne, ale na żadną z nich nie poszedł. Leinen nie lubił tych biur molochów. Pracujący w nich młodzi ludzie przypominali bankierów, mieli świetnie zdane egzaminy, kupowali auta, na które nie było ich stać, a zwyciężał ten, który na koniec tygodnia wystawił klientom najwyższą fakturę. Współwłaściciele podobnych kancelarii byli po drugim rozwodzie, w weekendy nosili żółte kaszmirowe swetry i spodnie w kratkę. Ich świat składał się z liczb, stanowisk w radach nadzorczych, umów konsultingowych z rządem federalnym i niekończącego się ciągu sal konferencyjnych, vipowskich poczekalni na lotniskach oraz hotelowych lobby. Dla nich wszystkich największą katastrofą było, gdy sprawa trafiała do sądu, sędziowie oznaczali ryzyko. Ale było to właśnie to, czego chciał Leinen: chciał włożyć togę i bronić swoich klientów. I tu się teraz znalazł.

Resztę niedzieli Caspar Leinen spędził nad jednym z jezior w Brandenburgii. Latem wynajmował tam domek. Leżał na pomoście, od czasu do czasu drzemał i przyglądał się żaglówkom oraz ludziom pływającym na deskach windsurfingowych. W drodze powrotnej wstąpił jeszcze do kancelarii i dziesięć razy odsłuchał wiadomość na automatycznej sekretarce.

– Cześć, Caspar, tu Johanna. Proszę, oddzwonić do mnie jak najprędzej. – Potem podała swój numer, to wszystko. Usiadł między kartonami przy telefonie, ciągle naciskał przycisk „powtórź”, oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. W pokoiku panowała duchota, powietrze w mieście stało już od kilku dni.

Głos Johanny nie zmienił się. Wciąż jeszcze był miękki, nadal delikatnie przeciągała głoski, i nagle wszystko wróciło: Roßthal, jasna zieleń trawy pod kasztanowcami, zapach lata, kiedy był jeszcze chłopcem.

—

Leżeli na płaskim dachu szopy i patrzyli w niebo. Papa, która pokrywała dach, była ciepła, pod głowy podłożyli kurtki. Philipp powiedział, że pocałował Ulrike, córkę piekarza.

– I co? – zapytał Caspar. – Pozwoliła ci na więcej?

– Hm – chrząknął Philipp, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

Między nimi stał termos z mrożoną herbatą, ozdobiony wyblakłą rattanową plecionką. Dziadek Philippa przywiózł go z Afryki. Słyszeli stojącą na tarasie kucharkę, która ich wołała. Mimo to nie wstali. Wszystko dokoła zwolniło bieg, kiedy tamtego popołudnia późnym latem leżeli w cieniu starych drzew, zasadzonych jeszcze przez pradziadka Philippa. Jeśli tak dalej pójdzie, nigdy nie pocałuję żadnej dziewczyny, pomyślał Caspar. Miał dwanaście lat, Philipp i on mieszkali w tym samym internacie nad Jeziorem Bodeńskim.

Caspar cieszył się, że na wakacje nie musiał wracać do domu. Jego ojciec odziedziczył kawałek lasu w Bawarii, nic więcej nie potrzebował. Mieszkał sam w ponurej leśniczówce, wybudowanej w siedemnastym wieku. Ściany były grube, okna małe, wszystko ogrzewane jedynie

kominkami. Wszędzie wisiały poroża i wypchane ptaki. Caspar marzył w tym domu przez całe swoje dzieciństwo. Dom i ojciec pachnieli jak miękka lukrecja w lato – to był zapach ballistolu, oleju, którym czyszczono używaną podczas polowań broń. Ballistolem leczono też wszystkie choroby – smarowano nim rany, bolące zęby i nawet, kiedy Caspar miał kaszel, to podano mu szklankę gorącej wody z tym olejem. Jedyne czasopismo, które mieli w domu, to „Pies i zwierzyna”. Małżeństwo rodziców Caspara było pomyłką. Cztery lata po ślubie matka wniosła o rozwód. Ojciec powiedział później, że dlatego nie zniosła tego wszystkiego, gdyż zawsze chodził w kaloszach. Matka poznała innego mężczyznę, którego w domu nazywano „panem parweniuszem”, ponieważ nosił zegarek, który kosztował więcej, niż wynosił roczny zysk z lasu. Matka zamieszkała z nowym mężczyzną w Stuttgarcie, mieli dwoje dzieci. Zanim zamieszkał w internacie, Caspar żył z ojcem w leśniczówce. Miał wtedy dziesięć lat.

– Ok, musimy się zbierać – powiedział Philipp. – Jestem głodny.

Zeszli z dachu i poszli do domu.

– Może pójdziemy później popływać? – zapytał Philipp.

– Wolę iść na ryby – powiedział Caspar.

– Masz rację, łowienie to lepszy pomysł. Ryby możemy zrobić na grillu.

Po tym jak kucharka ich zwymyślała, a chłopcy powiedzieli jej, że byli zbyt daleko, by móc ją usłyszeć, dostali duże pajdy chleba z masłem i szynką. Jak zwykle jedli w kuchni, a nie na górze, u rodziców Philippa. Caspar chętnie spędzał czas tu, na dole. Niezliczone ilości białych szuflad z czarnymi napisami: „sól”, „cukier”, „kawa”, „mąka”, „kminek”. Kiedy rano przychodził listonosz, dosiadał się do stołu. Wszyscy przeglądali wspólnie nadawców listów i czytali kartki, zanim te zostały zanesione na górę rodzicom Philippa.

W co drugie popołudnie Philipp miał korepetycje, ten czas Caspar mógł spędzać w gabinecie dziadka kolegi, Hansa Meyera. Czasami grali w szachy na bardzo starej szachownicy. Meyer miał do chłopca dużo cierpliwości, co jakiś czas pozwalał mu wygrać, a w nagrodę za zwycięstwo dawał mu pieniądze.

Hans Meyer wciąż prowadził rodzinną firmę. W roku 1886 jego dziadek założył Zakłady Meyerów, które po drugiej wojnie światowej dzięki Hansowi Meyerowi stały się międzynarodowym przedsiębiorstwem. Firma produkowała przede wszystkim maszyny, ale też przyrządy chirurgiczne, tworzywa sztuczne i wyroby kartonowe. Na początku dwudziestego wieku ojciec Hansa Meyera kupił za miastem ogromny bagienny teren. Z Berlina przyjechali architekci oraz projektanci zieleni i osuszyli ziemię. Powstał

park z alejami, żwirowymi ścieżkami, leśnymi drózkami, trawnikami, egzotycznymi drzewami i kasztanowym szpalerem. Urządzono trzy stawy, na największym usypano sztuczną wyspę, na którą można było się dostać przez jasnoniebieski most w chińskim stylu. Był też kort tenisowy z czerwoną nawierzchnią, otwarty basen, szklarnia, domek dla gości oraz dom dla kierowcy i jego rodziny. Na dole w parku znajdowała się oranżeria z szybami w ołowianych ramach, do której można się było dostać drogą wysadzaną bzami. Główny budynek został zbudowany w 1904 roku na niewielkim wzniesieniu, szerokie zewnętrzne schody prowadziły na kamienny taras, na którym stały cztery okrągłe kolumny. Mimo że mieściło się tam trzydzieści pokoi, a w bocznych skrzydłach znajdowało się sześć garaży, dom wydawał się lekki i dobrze wkomponowany w otoczenie. Okienne od zawsze malowano na ciemnozielony kolor, dlatego rodzina nazywała go po prostu *zielonym domem*. To określenie pasowało jeszcze z innego powodu – z jednej strony dom był całkowicie porośnięty bluszczem, a za budynkiem rosło osiem starych kasztanowców. Pod ich wysokimi koronami rodzina jadła kolacje w letnie weekendy.

Hans Meyer jako jedyny w Roßthal troszczył się o dzieci. Objaśniał im, jak bez jednego gwoźdźdźca zbudować domek na drzewie i gdzie wykopać najlepsze dżdżownice. Pewnego razu podarował Philippowi i Casparowi noże z rękojeściami z drzewa brzoźowego. Pokazał im, jak wystrugać gwizdki, a chłopcy wyobrażali sobie, jak nocami chronią rodzinę przed włamywaczami. To było ostatnie lato, kiedy mogli robić, co tylko chcieli. Dorośli nie zajmowali się nimi, a chłopcy nie przejmowali się niczym, co nie dotyczyło bieżącego dnia. Ich jedyne zmartwienie stanowiły dziewczęta, które nie będą chciały się z nimi całować, i ryby, których nie złapali.

Cztery lata później Caspar poznał Johannę, siostrę Philippa. Od pewnego czasu chłopcy w każde wakacje przyjeżdżali do Roßthal. Również Boże Narodzenie Caspar spędzał chętniej tam niż w zimnym domu swego ojca. Dwa tygodnie przed świętami zaczął padać śnieg i w końcu było go tyle, że odśnieżone alejki przypominały labirynt. Philipp i Caspar siedzieli w holu na dole przed wysokim kominkiem. Na kamiennej podłodze spały trzy psy, nie wolno im było wchodzić na górę. Philipp miał na sobie żółty szlafrok, który znalazł w jednej z szaf na strychu, z herbem wielkości talerza. Palili cygara dziadka, patrzyli na ogień i planowali najbliższe dni.

Kierowca Franz odebrał Johannę z lotniska w Monachium. Weszła do holu przez boczne drzwi, Philipp jej nie zauważył. Kiedy Caspar chciał wstać, pokręciła głową i uniosła do ust palec wskazujący. Potem zakradła się za krzesło Philippa i zasłoniła mu oczy.

– Zgadnij, kim jestem? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – powiedział Philipp. – Nie, chwila, na pewno jesteś tym grubasem Franzem o szorstkich dłoniach. – Zaśmiał się, zdjął jej ręce ze swojej twarzy i okrążył krzesło, żeby przytulić siostrę.

– Naprawdę ładny szlafrok, Philippie – powiedziała – i taki zółty... – Potem odwróciła się do Caspara, spojrzała na niego i uśmiechnęła się. – Ty musisz być Caspar – powiedziała ze spokojem. Zaczerwienił się. Schyliła się, żeby chłopak mógł pocałować ją w policzek, zobaczył jej biały stanik. Twarz dziewczyny była jeszcze zimna. Tak jak Philipp, Johanna była wysoka i szczupła, ale to, co jego czyniło niezgrabnym, jej dodawało elegancji. Mieli identyczne ciemne oczy i wysokie brwi, ale usta dziewczyny na jasnej, gładkiej twarzy, były delikatne i drwiące. Była tylko kilka lat starsza od Caspara, lecz wydawała się dorosła i nieosiągalna.

Przez następne dwa dni właściwie bez przerwy rozmawiała przez telefon ze swoim chłopakiem z Anglii, w całym domu rozbrzmiewał śmiech, a jej ojciec kłął, bo linia była wciąż zajęta. Kiedy wyjechała, pozostawiła pustkę, której nikt chyba poza Casparem nie zauważył.

Następnego lata Philipp dostał swój pierwszy samochód, citroena 2CV z białymi siedzeniami. To były ostatnie wakacje przed maturą. Jak zwykle przez pierwszą połowę chłopcy pracowali przy taśmie w rodzinnym przedsiębiorstwie Meyerów, a w drugiej połowie wydawali zarobione pieniądze. Przez przełęcz Brenner pojechali autem do Wenecji. W latach dwudziestych pradziadek Philippa kupił na wyspie Lido willę w secesyjnym stylu. Kiedy już obejrzeliby wszystkie muzea i kościoły, dni stały się do siebie podobne: żeglowali po lagunie, grali w tenisa, a popołudnia spędzali w nadmorskich kafejkach, na hotelowych tarasach albo leżeli w cieniu na murkach nabrzeża. Wieczorami jeździli tramwajem wodnym do Wenecji, chodzili do barów w Cannaregio i wpadali w wir nocnego życia. Prawie zawsze wracali dopiero nad ranem, wyczerpani siedzieli jeszcze godzinę na tarasie, słuchali krzyków mew i niczego więcej nie było im potrzeba.

Pod koniec wakacji na tydzień w odwiedziny przyjechała z Londynu Johanna. W dzień jej odjazdu, kiedy skończyli pływać, leżała obok Caspara. Wsparła się na łokciach, włosy opadały jej na twarz. Nagle pochyliła się i spojrzała na niego. Zamknął oczy, poczuł jej mokre włosy na swoim czole, pocałowała go w usta, zderzyli się zębami.

– Nie rób takiej poważnej miny – powiedziała z uśmiechem i dłonią zasłoniła mu oczy. Potem poderwała się i pobiegła w stronę morza, kolejny raz się odwróciła i krzyknęła: – Na co czekasz, chodź wreszcie. Oczywiście

nie poszedł, ale spoglądał za nią, i nawet później nie mógł sobie przypomnieć, by był kiedykolwiek bardziej szczęśliwy niż w te pogodne dni spędzone nad morzem.

Niecały rok później chłopcy zdawali maturę. Po uroczystościach rodzice Philippa odebrali go z internatu. Na ostatnim zakręcie przed tabliczką z napisem *Roßthal* w poprzek ulicy stała ciężarówka z przyczepą do transportu drewna. Kierowca wyjechał z polnej drogi i próbował zawrócić na wąskiej szosie. Samochód przejechał pod naczepą, pnie drzew odcięły dach. Głowę Philippa oderwało, jego rodzice wykrwawili się na ulicy.

Pogrzeb odbył się w Roßthal. Ksiądz w kościele mówił, jak dobrym synem, wnukiem był Philipp i jaką to przyszłość miał przed sobą. Nie wspomniał o tym, że trumna pozostanie zamknięta, ponieważ głowa zmarłego została zmasakrowana. Ksiądz miał okulary do czytania w liliowych oprawkach, stał przed wiernymi, w powietrzu czynił znaki krzyża, mówił o lepszym świecie. Casparowi zrobiło się niedobrze. Wyszedł z kościoła w trakcie mszy. Na zewnątrz przy podestach, na których później miały znaleźć się trumny, stali grabarze ubrani w garnitury. Palili i rozmawiali, byli ożywieni. Kiedy zobaczyli Caspara, rzucili papierosy na ziemię i butami dogasili niedopałki. Nie chciał im przeszkadzać, więc poszedł na cmentarz, do kaplicy grobowej. Usiadł w półcieniu na marmurowej ławce i stamtąd przyglądał się pogrzebowi.

Hans Meyer chował syna, synową i wnuka. Wsparty o Johannę stał sztywno nad grobami. Przez cztery godziny odbierał kondolencje, z każdym zamienił kilka ciepłych słów. Potem poszedł do domu i zamknął się w swoim gabinecie. Johanna natychmiast kazała odwieźć się na lotnisko, nie chciała z nikim rozmawiać.

Wieczorem Caspar odwiedził Hansa Meyera w jego gabinecie. Spytał starszego człowieka, czy nie zagraliby w szachy, tak jak kiedyś. Grali w milczeniu, w pewnym momencie Hans Meyer przerwał partię. Otworzył okno i spojrzął na ledwie oświetlony park.

– To stało się, kiedy byłem jeszcze chłopcem, miałem osiem, może dziewięć lat – powiedział Meyer. Mówił, nie odwracając się. – Miałem czerwono-niebieską koszulę. Te kolory naprawdę lśniły, nie wiem, co to był za materiał. Mój wujek przywiózł mi ją z Włoch. Założyłem tę koszulę i poszedłem do stadniny. Wtedy chodziłem tam prawie codziennie, bardzo lubiłem konie. Na zewnętrznym wybiegu stał koń, na którym moja matka skakała przez przeszkody, to było narowiste zwierzę. Wygrał kilka turniejów z rzędu i myślała, że za parę lat pojedzie z nim na igrzyska olimpijskie.

Może chciałem go wtedy tylko pogłaskać, tak jak często to robiłem, nie pamiętam już. W każdym razie koń spojrzał na mnie, stanął dęba i biegnąc, wpadł na belki ogradzające wybieg. Spłoszył się. Złamał lewą przednią nogę, rżał z bólu. Konie potrafią przeraźliwie rzeć, nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Zakryłem uszy i uciekłem. Po południu przyszedł leśniczy i zastrzelił nieszczęsne zwierzę.

Hans Meyer odwrócił się, płakał bezgłośnie, ale jego głos nie drżał.

– Wieczorem musiałem pójść do gabinetu mojego ojca. Siedziałem tam, gdzie ty teraz siedzisz, przy tym biurku. Wtedy rodzice rzadko rozmawiali ze swoimi dziećmi. Kochałem ojca, ale bałem się go. Powiedział, że koń nie żyje z mojej winy, że musiał przedwcześnie zginąć. I że na przyszłość mam lepiej dbać o to, co mi się powierza. Naprawdę użył tego słowa, „przedwcześnie”. Ojciec mnie nie ukarał. Powiedział, żebym przemyślał śmierć konia... Kilka dni później zwierzę zostało zakopane za domem, w parku nad dolnym stawem. Oczywiście nie cały koń, tylko kopyta.

– Wiem, Philipp kiedyś pokazał mi to miejsce. – Caspar spojrzał na starszego mężczyznę, swojego przyjaciela. – Ale to nie była twoja wina – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Nie mógł się przestraszyć twojej koszuli. Konie nie rozróżniają kolorów. Widzą wszystko czarno-biało.

Hans Meyer wsparł się o poręcze fotela, uśmiechnął się.

– Wiesz co, Caspar, to miłe, co mówisz. Ale to nieprawda. Konie rozróżniają kolor czerwony i niebieski.

Mężczyzna przetarł oczy wierzchem dłoni. Stanął z powrotem przy oknie i oparł się o futrynę. Caspar wstał i podszedł do niego. Hans Meyer odwrócił się, przytulił chłopca. Potem powiedział, że wolałby teraz zostać sam. Kiedy następnego ranka Caspar wracał do domu, znalazł stare szachy położone na siedzeniu pasażera.

Po czasie straconym w wojsku Leinen zaczął studia prawnicze w Hamburgu. Zmienił się od śmierci Philippa, wyciszył, świat stał mu się obojętny. Często miał uczucie, że został pozbawiony samego siebie. Obserwował się, stojąc z boku, i poruszał swoim ciałem jakby za pomocą pilota. Wydawało mu się wtedy, że odziedziczył posepność swego ojca.

Po pogrzebie tylko raz był w Roßthal, cztery lata po śmierci przyjaciela Johanna zaprosiła go na swój ślub. Wychodziła za starszego o dwadzieścia lat Anglika, swojego wykładowcę z Trinity College w Cambridge, był przyjemnym mężczyzną o siwych brwiach. Wszyscy uważali go za

interesującego i szarmanckiego. Kiedy po ceremonii Caspar przed kościołem składał życzenia Johannie, ona wyszeptała mu do ucha, że bardzo tęskni za Philippem, ustami musnęła go po policzku. Złapał ją za rękę, pocałował wewnętrzną stronę jej dłoni i przez chwilę wierzył, że uda im się wszystko uratować.

—

Sześć lat później siedział w swoim małym pokoju i wybierał jej numer. Odebrała po pierwszym sygnale.

– Halo, Johanna?

– W końcu zadzwoniłeś. Od wczoraj próbuję się dodzwonić, nie mam numeru twojej komórki. Caspar, dlaczego ty to robisz?

Był zaskoczony, w jej głosie słyhać było wściekłość.

– O co ci chodzi?

– Dlaczego bronisz tego łajdaka? – zaczęła płakać.

– Uspokój się Johanna, nie rozumiem, o czym mówisz.

– Wszędzie o tym piszą. Podjąłeś się obrony tego Włocha.

– Ale... poczekaj... poczekaj chwilę... – Leinen wstał, jego aktówka leżała jeszcze na biurku. Spomiędzy dokumentów wyciągnął nakaz aresztowania.

– Johanna, tu jest napisane, że on zabił kogoś, kto nazywał się Jean-Baptiste Meyer.

– O Boże, Caspar, imię *Jean-Baptiste* miał tylko w paszporcie.

– O czym ty mówisz?

– Bronisz zabójcy mojego dziadka.

Matka Hansa Meyera była Francuzką, nazwała syna Jean-Baptiste po Janie Chrzcicielu. Ale jak wielu jego rówieśników, nie chciał mieć wymyślnego imienia. Friedrich stawał się Fritzem, Reinhard – Reinerem, Johannes – Hansem. Wszyscy znali go jako Hansa Meyera, nawet na wizytówkach widniało to imię.

Leinen po raz pierwszy miał ofiarę przed oczami: Hans Meyer, zastrzelony w pokoju hotelowym, kałuża krwi, policjanci, miejsce otoczone białą-czerwoną taśmą ostrzegawczą. Leinen usiadł na podłodze, oparłszy się plecami o ścianę. Stół należący do jego ojca stał w poprzek pokoju, z jednej z nóg wykruszył się kawałek drewna.

Jak zwykle nie wiadomo było, kto rozmawiał z dziennikarzami. Później prokuratura podejrzewała, że wśród policjantów jest informator, na jaw wyszło zbyt dużo szczegółów. Największy berliński brukowiec na pierwszej stronie napisał: „Morderstwo w luksusowym hotelu”. Nazwisko sprawcy nikomu nic nie mówiło, ale ofiary – owszem. Był jednym z najbogatszych ludzi w Niemczech: Hans Meyer, właściciel i przewodniczący rady nadzorczej SMF Fabryk Maszynowych Meyera, odznaczony Związkowym Krzyżem Zasługi. W redakcjach próbowano dowiedzieć się więcej, przeszukiwano archiwa, czytano stare analizy. Dziennikarze spekulowali na temat motywu. Większość podejrzewała, że to przestępstwo na tle gospodarczym, brakowało potwierdzonych informacji.

Adwokat profesor doktor Richard Mattinger siedział na kanapie ubrany w szlafrok, z szeroko rozstawionymi nogami, i myślał o żonie. To ona, niecałe dwadzieścia lat temu, znalazła ten dom nad Wannsee. Wtedy, osiem lat przed zjednoczeniem, działki były śmiesznie tanie i do starych domów wprowadzały się nowe rodziny. Jego żona miała rację, w ciągu ostatnich dziesięciu lat wartość nieruchomości wzrosła parokrotnie. Kobieta umarła krótko po tym, jak urządziła dom, i od tego czasu Mattinger nie chciał niczego zmieniać.

Jego szlafrok był rozwiązany, mężczyzna miał siwe włosy na klatce piersiowej. Jego przyjaciółka, bardzo młoda kobieta z Ukrainy, zaspokajała go. Co dzień niezliczoną ilość razy mówiła mu, jak bardzo go kocha. Mattingerowi było to obojętne. Wiedział, że taki związek to interes oparty na obopólnej korzyści, w najlepszym wypadku przez dłuższy czas przyjemny dla obu stron. Miał około sześćdziesiąt pięć lat, wciąż był jeszcze w dobrej formie. W ostatnich dniach wojny, miał wtedy osiem lat, granat ręczny rozerwał jego lewe przedramię. Najbardziej jednak uwagę zwracały oczy Mattingera, ciemnoniebieskie, o niesamowicie intensywnej barwie.

Telefon dzwonił już dziewiąty raz. Tylko kilka osób miało jego prywatny numer, więc skoro ktoś dzwonił w niedzielę po południu, musiało to być coś ważnego. Kiedy w końcu odebrał, jego przyjaciółka podniosła głowę spomiędzy jego kolan, uśmiechnęła się i chciała wiedzieć, czy ma kontynuować. Mattinger potrzebował chwili, by się skupić. Przycisnął ramieniem słuchawkę do ucha, przyciągnął do siebie leżący na pod ręcznym

stoliku notes i zaczął pisać w trakcie rozmowy. Kiedy odłożył słuchawkę, wstał, zawiązał szlafrok, pogłaskał kobietę po głowie i bez słowa poszedł do gabinetu.

Pół godziny później kierowca zawiózł go do kancelarii. Z drogi Mattinger zadzwonił do jednego z młodych adwokatów, który dla niego pracował, i poprosił, by przyszedł do biura. Już w latach siedemdziesiątych Mattinger był obrońcą w procesach terrorystów w Stammheim, jego wystąpienia przed sądem były wydarzeniami medialnymi. W jednym z tygodników napisano o nim, że niemal *błyszczący intelektem*. Wówczas na sali rozpraw – być może po raz pierwszy w historii kodeksu postępowania karnego – naprawdę walczono wtedy o prawa oskarżonego. Na początku rewolt studenckich wielu uważało, że demokracja jest zagrożona, za wrogów państwowych uznawano przede wszystkim terrorystów. Jeszcze przed wydaniem wyroku w najgłośniejszym procesie tamtego czasu, wybudowano dla oskarżonych więzienie. Podczas postępowania zmieniano ustawy, obrońcy krzyczeli na sędziów, oskarżeni ogłaszali strajki głodowe, a przewodniczący składu sędziowskiego został wyłączony za stronniczość. Przed sądem toczyła się wojna. Ponadto obrońcy uczyli się, stali się bardziej pewni siebie i przekonali się mocniej niż kiedykolwiek, że tylko w toku uczciwego postępowania można dojść sprawiedliwości. Niektórych to przerastało. Spoufalali się ze swoimi klientami, przekraczali granice i sami stawali się przestępcami. Dochodziło do tragedii powodowanych gniewem. Mattinger był inny. Opinia publiczna uważała, że był głosem terrorystów, bardziej zrozumiałym i donośniejszym niż ich własny. Ale to nie była prawda. Oczywiście kilka razy uczestniczył w demonstracjach i poznał rzeczników studentów, ale przerażało go, jak ci upajali się swoimi słowami. W rzeczywistości Mattinger reprezentował tylko prawo, wierzył w państwo prawa.

Od tego czasu był obrońcą w prawie dwóch tysiącach spraw. Jeszcze nigdy nie przegrał procesu o morderstwo, żaden z jego klientów nie został skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Ale z czasem zmieniła się jego klientela. Na początku byli to małwersanci i przedsiębiorcy budowlani, później bankierzy, zarządy i rodziny z tradycjami. Już dawno nie bronił żadnego dealera narkotyków, szefa mafii czy mordercy. Pisywał artykuły do gazet prawniczych, był przewodniczącym kilku prawniczych organizacji, współredaktorem pierwszego komentarza do kodeksu karnego oraz gościnnie wygłaszał wykłady na Uniwersytecie Humboldta. Wszystko wokół niego stało się bardziej subtelne. Wystąpienia w sądzie były coraz rzadsze, większość postępowań toczących się przeciwko jego klientom

prokuratura umarzała za wysoką opłatą, bez przeprowadzania rozprawy głównej. Mattinger wciąż wierzył w państwo prawa, ale bitwy wyglądały na przegrane. Czasami kiedy zdarzało mu się utknąć gdzieś nocą na lotnisku, wydawało mu się, że coś mu umyka. Jednak nie chciał myśleć, co to takiego.

Zanim dotarł do kancelarii, zdążył już zadzwonić do Wydziału Zabójstw. Oczywiście znał kierującego sprawą urzędnika i otrzymał wystarczająco dużo informacji, by mieć wstępne rozeznanie. Dwie godziny później rozmawiał przez telefon z prawnikiem wewnętrznym rodzinnego przedsiębiorstwa Meyerów, Holgerem Baumannem. Mattinger i młodszy adwokat siedzieli razem w jednej z dużych sal konferencyjnych i przez zestaw głośnomówiący rozmawiali z Baumannem. Prawnik powiedział, że koncern zatrudnia na całym świecie przeszło czterdzieści tysięcy pracowników, co roku zyski o cztery procent przekraczają średnią zysków całej branży, a niedługo firma miała dokonać największej transakcji w historii. Twierdził, że morderstwo Hansa Meyera, byłego przewodniczącego zarządu i głównego udziałowca, to katastrofa. Wzmianki o firmie nie powinny pojawiać się w prasie. Baumann mówił o toczącym się kilka lat temu postępowaniu o przekupstwo w jednej ze spółek córek, w którym Mattinger reprezentował jednego z najważniejszych pracowników. W gazetach miały się wtedy ukazać nieprzyjemne artykuły. Baumann wydawał się zdenerwowany. Mattinger przypomniał sobie, że go nie lubi.

Baumann powiedział też, że w firmie nikt nie ma pojęcia, dlaczego Meyer został zabity. Stary wprawdzie wciąż był przewodniczącym rady nadzorczej, ale to zdarzenie z pewnością nie miało związku z firmą. Mattinger był zdziwiony. Przystępstwa dokonano ledwie kilka godzin wcześniej, a Baumann już teraz wiedział to na pewno.

Zarząd chciał, by Mattinger reprezentował firmę w tym postępowaniu. Mattinger wyjaśnił Baumannowi, że to niemożliwe, gdyż tylko członek rodziny może ustanowić go pełnomocnikiem oskarżyciela posiłkowego. Powiedział, że większość adwokatów specjalizujących się w prawie cywilnym tego nie wie, ale takie jest prawo. Baumann obiecał, że to załatwi, i po godzinie na biurku Mattingera leżał faks od wnuczki, Johanny Meyer z Londynu, jedynej spadkobierczyni zamordowanego.

Mattinger obiecał Johannii Meyer, że wszystkim się zajmie. Rano miał porozmawiać z prokuratorem z Berlina i zdać wszystkim sprawozdanie. Zatrudniony przez Mattingera młody adwokat poszedł do swojego biura i wziął się za papierkową robotę.

Około dwudziestej trzeciej Mattinger był z powrotem w domu. Jego przyjaciółka już spała, jak zwykle w pokoju gościnnym. Przyniósł z kuchni

szkłankę wody z lodem i poszedł do ogrodu. Pachniało świeżo skoszoną trawą. Rozluźnił krawat i rozpiął koszulę. Wciąż było mu za ciepło. Przyłożył zimną szkłankę do czoła. Zebranie zarządu w Monachium w trybie nadzwyczajnym zostało wyznaczone na trzecią po południu. Do tego czasu Mattinger jeszcze nie będzie miał żadnej odpowiedzi. Wówczas nie sformułował nawet właściwych pytań.

Pierwszą noc po aresztowaniu Colliniego Leinen spędził na pisaniu wniosku. Siedział przy stole kuchennym w swoim mieszkaniu, przed nim leżały otwarte podręczniki i komentarze. Na stole stał mały czarno-biały telewizor, przez większość czasu, kiedy był włączony, miał wyciszony dźwięk. Dopiero o dwudziestej drugiej trzydzieści wiadomości nadały krótki film o zamordowanym, obrazki z lakonicznym komentarzem: Hans Meyer z Konradem Adenauerem, Hans Meyer z Ludwigiem Erhardem, Hans Meyer z Helmutem Kohlem. Lektor zastanawiał się nad motywem, był ponoć niejasny, prokuratura ma ustalić szczegóły. Kolejne zdjęcia przedstawiały hotel Adlon, więzienie i budynek Wydziału Zabójstw. Domniemany zabójca mógł być włoskiego pochodzenia.

Około godziny piątej Leinen po raz pierwszy wydrukował wniosek, o siódmej miał już jego gotową wersję. Tekst był dobry, ale Leinen nie wiedział, czy w ogóle zostanie zatwierdzony. Wnioskował o zrzeczenie się obrony Colliniego, sędzia miał zwolnić go z funkcji obrońcy z urzędu.

Wyszedł z domu o wpół do ósmej. Powietrze było chłodne i rześkie po tym, jak przestało padać. W kiosku kupił wszystkie dzienniki, prawie w każdym na pierwszej stronie pisano o morderstwie na Meyerze.

Na parterze kamienicy, w której na drugim piętrze mieszkał Leinen, znajdowała się piekarnia. Właściwie to nie była piekarnia, tylko sklepik z pieczywem, który wyglądał jak setki innych tej sieci, standardowo wykończony. Piekarz był grubym mężczyzną o czerwonej twarzy i małych rękach, knykcie przypominały wgłębienia na grzbiecie dłoni. Potrafił się poruszać z zaskakującą szybkością, ale był zbyt otyły, by zmieścić się w wąskim przejściu, lada wbijała mu się w brzuch i pozostawiała na nim podłużny ślad z okruchów chleba. Przed sklep mężczyzna wystawił trzy stare drewniane krzesła, latem Leinen siadał tam co dzień, pił kawę i jadł jednego, niesmacznego zresztą rogalika. Czasami piekarz dołączał do niego. Tamtego dnia powiedział, że adwokat wygląda strasznie.

Leinen pojechał do sądu kolejką naziemną. Przez wagony szedł człowiek grający na gitarze i zawodzący jakąś piosenkę Boba Dylana, tylko kilkoro turystów dało mu pieniądze. Tuż po ósmej Leinen był w sądzie w dzielnicy Moabit.

Wydział Prokuratury do Spraw Ciężkich Przestępstw mieścił się na

trzecim piętrze, na korytarzu wzdłuż okien stały ekrany z pancernego szkła w stalowych ramach. Leinen pracował tu trzy miesiące jako aplikant, większość prokuratorów znał przynajmniej z widzenia. Akta w sekretariacie sięgały sufitu, leżały na półkach, regałach, stołach i podłodze, uporządkowane według jakiejś niezrozumiałej zasady. Tu zbierano dokumentację wypadków gwałtownej śmierci ludzi. Akta zakładano w wypadku każdego rodzaju zbrodni: morderstwa, zabójstwa, zabójstwa, do którego doszło przy użyciu materiałów wybuchowych, czy wzięcia zakładników ze skutkiem śmiertelnym. Na ścianach wisiały kartki pocztowe wysyłane z urlopu przez sekretarki, przedstawiały zachody słońca, plaże i palmy. Do ekranów komputerów przyczepione były zdjęcia dzieci i mężów.

Leinen podał sygnaturę i przedstawił orzeczenie sądu, które potwierdzało, że jest obrońcą z urzędu. Pracownica sekretariatu podała mu cienką teczkę.

Kobieta знаła Leinena z czasów, kiedy był aplikantem, i życzyła mu powodzenia podczas procesu. „Będzie ciężko”, powiedziała i spojrzała na niego ze współczuciem, Richard Mattinger już został ustanowiony pełnomocnikiem oskarżyciela posiłkowego. Leinen dowiedział się jeszcze, że o trzynastej w Instytucie Medycyny Sądowej odbędzie się sekcja zwłok.

Wziął akta i zastanowił się, czy powinien odwiedzić swego klienta, ale nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby omówić z Collinim. Przeglądał papiery, idąc korytarzami do pokoju adwokackiego.

To pomieszczenie było w sądzie karnym Moabit miejscem strzeżonym, żaden klient, prokurator, sędzia czy nawet tłumacz nie mógł tam wejść. Miejsce to istniało od czasów Republiki Weimarskiej, sławni obrońcy, tacy jak Max Alsberg, przesiadywali tam jeszcze w latach dwudziestych. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło. Adwokaci czytali gazety, dzwonili do kancelarii, pisali wnioski albo czekali na dalszy ciąg procesu. Za jedno euro wypożyczyć można było tokę, sekretarka spisywała przekazywane telefonicznie wiadomości, a adwokatów, których lubiła, częstowała cukierkami. Jednak przede wszystkim było to miejsce rozmów adwokatów. Wymieniano plotki o sędziach i prokuratorach, omawiano procesy, udzielano rad dotyczących wniosków, zakładano i rozwiązywano koalicje. Tu adwokaci dowiadywali się, że któryś z sędziów nie dotrzymał umowy albo jakiś prokurator zataił ustalenia. Rozmawiali otwarcie, przyznawali się do porażek i chwalili sukcesami. W tym pomieszczeniu inaczej mówili o swoich klientach, żartowali z przestępstw, by móc to wszystko znieść. Pili kawę z automatu, miała smak plastiku i mleka w proszku. Wyposażenie

pokoju było już wysłużone, a obicia kanap wytarte.

Leinen chciał się dostać do kopiarek, które znajdowały się w położonym głębiej pomieszczeniu. Przemierzając pokój adwokacki, wciąż jeszcze czytał akta. Zderzył się z innym obrońcą, dokumenty upadły na podłogę. Leinen przeprosił, podniósł je i poszedł dalej. Kiedy stał przy kserokopiarce, zobaczył Richarda Mattingera siedzącego na kanapie i czytającego gazetę. Podeszedł do niego.

– Dzień dobry, panie Mattinger – powiedział. – Nazywam się Caspar Leinen. Bierzymy udział w tym samym procesie.

– Fabrizio Collini? Ta sprawa z Hansem Meyerem?

– Tak, tak właśnie.

Mattinger wstał i podał rękę Leinenowi.

– Da się pan zaprosić na kawę? – zapytał.

– Chętnie. Cieszę się, że mogę pana poznać – powiedział Leinen. – Chodziłem na pańskie wykłady na temat prawa karnego procesowego.

– Mam nadzieję, że nie opowiadałem zbyt wielu bzdur – powiedział Mattinger i poszedł z Leinenem do automatu z kawą. Mattinger wrzucił monetę. Obaj mężczyźni poczekali, aż maszyna wyda brązowy plastikowy kubek. – Mam nadzieję, że dziś rano nikt jeszcze nie zamówił zupy pomidorowej. W przeciwnym razie kolejnych pięćdziesiąt kaw będzie smakować paskudnie.

– Dziękuję. Kawa i bez tego jest okropna. – Ruszyli z powrotem w kierunku kanap i usiedli.

– Gratuluję panu, panie Leinen, to naprawdę bardzo ciekawa sprawa – powiedział Mattinger.

– Wprost przeciwnie – wymamrotał Leinen.

– Dlaczego?

– Właśnie próbuję wyplątać się z obrony klienta. Zgodziłem się niestety na wyznaczenie mnie jako adwokata z urzędu, ale nie mogę prowadzić obrony w tej sprawie. Tak czy inaczej przeczyta pan to w aktach, choć mogę to panu również powiedzieć od razu – Leinen wyjaśnił, co się stało. Mattinger zapytał, czy może przeczytać ten wniosek, Leinen podał mu kopię.

– Jest świetny – powiedział po kilku minutach Mattinger. – To, co pan opisuje, jest jak najbardziej zrozumiałe. Nie jestem jednak pewien, czy to wystarczy. Wie pan chyba, że po orzecznictwie może pan zostać zwolniony z obowiązku bronienia klienta tylko wtedy, jeśli między panem a nim doszło do zachwiania zaufania. Sędzia Köhler zawsze decyduje zgodnie z linią przyjętą w orzecznictwie. Powiedziałbym nawet, że jest technokratą.

– Mimo to spróbuję – powiedział Leinen.
– Nie znamy się, panie Leinen. Nie będzie pan słuchał moich rad.
– Nie – odpowiedział Leinen – naprawdę chętnie usłyszę, co pan myśli.
– Zakładam, że to pańska pierwsza sprawa z udziałem ławy przysięgłych.

– Tak – powiedział Leinen i skinął głową.

– Na pańskim miejscu nie składałbym tego wniosku.

Leinen spojrział na niego zdziwiony.

– Ale... ja się praktycznie w tej rodzinie wychowałem.

Mattinger pokręcił głową.

– No i? Morderstwo w następnym procesie będzie panu przypominało jakieś traumatyczne wydarzenie z dzieciństwa. A przy jeszcze kolejnym będzie pan wciąż myślał o tym, że miał kiedyś dziewczynę, która została zgwałcona. Potem nie będzie się panu podobał nos klienta albo narkotyki, którymi handluje, uważać pan będzie na największe zło świata. Chce pan być obrońcą, panie Leinen, więc musi się pan zachowywać jak obrońca. Podjął się pan obrony człowieka. Dobrze, być może był to błąd. Ale wyłącznie pański błąd, nie jego. Jest pan teraz odpowiedzialny za tego mężczyznę, jest pan wszystkim, co on tu ma. Musi mu pan opowiedzieć o swoich relacjach z ofiarą, a potem zapytać, czy nadal chce, by go pan bronił. Jeśli będzie chciał, i tylko od tego to zależy, powinien pan się nim zająć, dołożyć starań i porządnie wykonać swoją pracę. To jest sprawa o morderstwo, a nie seminarium na uczelni.

Leinen nie wiedział, czy Mattinger ma rację, czy może podczas procesu chce mieć niedoświadczonego przeciwnika. Starszy adwokat spojrział na niego przyjaźnie. Może i jedno, i drugie.

– Zastanowię się nad tym – powiedział w końcu Leinen – w każdym razie dziękuję.

– Też muszę iść, mam jeszcze naradę w Wydziale Przepływów Gospodarczych – powiedział Mattinger. – Proszę mi powiedzieć, mógłby mnie pan dziś po południu odwiedzić w moim biurze? Może byłoby rozsądnie przedyskutować parę spraw.

– Bardzo chętnie. – Leinen wiedział, że Mattinger chce się dowiedzieć, jak będzie bronił Colliniego, jeśli ten pozostanie jego klientem. Pragnął jednak poznać słynnego adwokata.

Kto pierwszy raz trafia do prosektorium, ten styka się z własną śmiercią. Współczesny człowiek nie ma styczności z ciałami zmarłych, całkowicie zniknęły z normalnego świata. Czasem na poboczu mignie tylko jakiś przejechany lis. Na ogół nie widuje się ludzkich zwłok.

Kiedy Leinen dotarł do Zakładu Medycyny Sądowej, na niego i kierownika zakładu profesora Wagenstetta czekali już prokurator naczelny doktor Reimers oraz dwóch pracowników Wydziału Zabójstw. Pojawienie się na sekcji obrońcy nie było czymś zwyczajnym, ale Leinen chciał wiedzieć wszystko.

Stół, na którym leżały zwłoki, miał dwa i pół metra długości i osiemdziesiąt pięć centymetrów szerokości, wykonany został z polerowanej stali szlachetnej. Stał na umiejscowionej na środku podporze, po jego bokach znajdowały się dwa zabezpieczone gniazdka elektryczne do podłączania pił i wiertel, na stole był kran, który można było obsługiwać kolanem, i giętki szlauch. Stół miał wmontowany zlew. Należał do nowszych modeli, których blat podnosiło się i opuszczało automatycznie. „Prawie bezszelestnie”, powiedział Wagenstett, kiedy pół roku temu dostarczono sprzęt. Przejęty jak chłopiec swoją nową zabawką, demonstrował studentom obsługę stołu. Pod perforowanym podkładem, trójwarstwowym, by łatwiej utrzymywać czystość, stała misa zlewowa, do której niewielkim kanałem przez wyjmowane sitko spływała krew i inne odpady. Wyciąg nad stołem przypomina za duży okap kuchenny.

Od widoku ciała, zrobiło mu się niedobrze. Zmarły był nagi. W ostrym, białym świetle jego włosy na klatce piersiowej i kroczu wyglądały na grube, sutki i paznokcie były ciemne, każdy kontrast wydawał się silniejszy. Połowa twarzy zmarłego była rozerwana, włókna mięśniowe i kości leżały luźno. Oko, które się zachowało, było otwarte i uszkodzone, miało mleczną barwę. Jak u ryby, pomyślał Leinen.

Wagenstett rozpoczął sekcję. Kciukiem naciskał plamy na klatce piersiowej i nogach. Jego asystentka, przysadzista studentka medycyny z wysoko upiętymi włosami, pochyliła się nad ciałem razem z nim.

– Plamy są ciemnofioletowe – powiedział z powagą Wagenstett. – Ciało nie leżało na zewnątrz. To samo napisane jest w sprawozdaniu. – Potem zwrócił się do swojej asystentki: – Proszę spojrzeć, pod mocnym uciskiem

plamy pośmiertne tylko nieznacznie ustępują, po kilku sekundach już nie wracają do poprzedniego stanu. Proszę spróbować.

Spróbowała.

– Jaki z tego wniosek? – zapytał Wagenstett.

– Zgon mężczyzny nastąpił więcej niż sześć, ale nie więcej niż trzydzieści sześć godzin temu.

– Zgadza się. – Wagenstett wyprostował się. Znow zwrócił się nauczycielskim tonem: – Proszę podać definicję plam pośmiertnych.

– Plamy pośmiertne, łacińska nazwa *livores*, powstają pod wpływem grawitacyjnego spływania krwi w obrębie naczyń krwionośnych.

– Tak, zgadza się, dobrze.

Tak minęły kolejne dwie godziny. Wagenstett dyktował spostrzeżenia, mały mikrofon wisiał nad stołem. Stężenie pośmiertne w mięśniach miało już być rozwinięte, nie ma zmian gnilnych. Wagenstett wziął do ręki raport lekarza sporządzony na miejscu przestępstwa, przeczytał informacje dotyczące temperatury ciała oraz powietrza i pokiwał głową. Następnie opisał zmarłego: głowa, włosy (długość, łysina czołowa), twarz, kości i otwory nosowe (rozbite, wyciek krwi i przezroczystej cieczy, ślady biegnące w kierunku obojga uszu wyraźniejsze po prawej stronie), oczy (lewe zniszczone, wypłynęło, prawe częściowo zachowane, spojówka biała), jama ustna (z wewnątrz dobywa się czerwona ciecz). Wagenstett mówił cicho i był skoncentrowany. Powiedział asystentce, że oględziny zewnętrzne to pierwszy kontakt ze zmarłym. Trzeba obchodzić się z nim ostrożnie, powoli i z respektem. Badać od góry do dołu, systematycznie, i nie skakać od jednej charakterystycznej zmiany do drugiej.

– Ten człowiek nie żyje – powiedział Wagenstett – proszę się nie spieszyć.

Wagenstett traktował zmarłych z szacunkiem, żarty przy stole sekcyjnym były zabronione.

Po oględzinach zewnętrznych przyszedł czas na wewnętrzne. Leinen musiał oprzeć się o wykafelkowaną ścianę, nie czuł już nóg. Wagenstett obrócił bezwładne ciało i spreparował plecy. Skalpelem zrobił nacięcie od karku do kości krzyżowej, a następnie przez pośladki, tworząc jakby literę Y. Warstwa po warstwie zdejmował tkanki, wyjął mięśnie pleców, na bok odłożył części miękkie i lewą łopatkę. Leinen zamknął oczy, jednak wciąż czuł zapach. Chciał już iść, ale nie mógł się ruszyć.

Między skórą głowy a czaszką znajduje się płat, mocno ukrwiony i łatwy do oddzielenia od kości. Skalpowanie nie wymaga nakładu siły. Wagenstett tłumaczył studentom, że krewni zmarłych mają prawo, by możliwie jak

najmniej ingerować w zwłoki ich bliskich. Dlatego powinno się robić nacięcia na potylicy, a skórę ściągać w kierunku czoła, aż czaszka będzie całkowicie odsłonięta. Wtedy można ją łatwo przepiłować i wyjąć mózg. Następnie ściąga się skórę głowy z powrotem do tyłu, i w ten sposób zmarły nie zostaje pozbawiony głowy.

– Tu jest to jednak niemożliwe – wyjaśnił Wagenstett – brak części głowy, a pozostały fragment jest zmiażdżony. Musimy zrobić inne nacięcie, potrzebne nam kanały postrzału. Padły łacińskie nazwy, Wagenstett dyktował, nacinał od ucha do ucha i oddzielił nienaruszony jeszcze płąt. Z galaretowatej rany wypadł na stół pocisk. Dwa kolejne tkwiły w czaszce, czwarty przeleciał przez lewy oczodół. Wagenstett pokazał metalowe bryłki prokuratorowi naczelnemu Reimersowi.

– Są mocno zniekształcone, balistycy nie będą mieli łatwego zadania – powiedział.

Potem przyszedł czas na sondy, długie wąskie rurki, które zrekonstruować miały kanał postrzałowy. Wagenstett wetknął je w otwór wlotowy pocisku, określany przez niego *luką w skórze*. Sondy wystawały z czaszki na kilka centymetrów. Głowa zmarłego przypominała Leinenowi wizerunki świętych z barokowych obrazów. Wagenstett robił zdjęcia, przez długi czas ciszę przerywał jedynie ładujący się flesz.

Sekcja trwała jeszcze kolejną godzinę, dokonano pomiarów i odnotowano każdą ranę, każde krwawienie czy ubytek kości: stare blizny na obu kolanach, jedna pięcio-, a druga ośmiocentymetrowa, dwucentymetrowa na prawym łokciu, sześciocentymetrowa na brzuchu, powstała na skutek operacji wyrostka robaczkowego, siedmiomilimetrowa nad lewym łokciem i dziewięćmilimetrowa na podbródku. Narządy zostały wyjęte, poddane oględzinom i zważone (mózg 1380 g, serce 340 g, płuco prawe 790 g, płuco lewe 630 g, śledziona 150 g, wątroba 1060 g, nerka prawa 175 g, nerka lewa 180 g). Pobrano krew z żyły udowej i serca, mocz, treść żołądka, tkanki wątroby i płuc oraz żółć. Kopniaki zostały opisane najdokładniej, jak to było możliwe, a ślady butów sfotografowane. Wagenstett dyktował protokół oględzin i wnioski, doktor Reimers wstał i rozprostował nogi.

Sprawozdanie miał dostać następnego dnia, sekretariat był podobno zawałony pracą. Potem Reimers raz jeszcze zbliżył się do ciała.

Jako pierwsi prosektorium opuścili obydwaj pracownicy Wydziału Zabójstw. Leinen nie był w stanie mówić, nie pożegnał się. Jeden z mężczyzn miał na sobie biało-niebieską koszulę. Leinen wbił w nią wzrok i zaczął liczyć znajdujące się na niej paski. Nie widział nic więcej, podązał

za nią aż do wyjścia. Wreszcie stanął na schodach przed budynkiem z wypalanej cegły, w którym mieścił się Zakład Medycyny Sądowej, południowy skwar buchnął na niego. Sięgnął do kieszeni marynarki po srebrną papierośnicę. Była zimna i istniała naprawdę. Zapalił papierosa, jego dłonie drżały. Reimers stanął obok niego i powiedział coś. Leinen zrozumiał, co mówi, dopiero po jakimś czasie.

– ...sprawa wydaje się oczywista: wszystkie strzały padły od tyłu i z góry. Pierwszy prawdopodobnie kiedy klęczał, pozostałe, kiedy leżał. Żadnych śladów obrony, ofiara musiała ufać przestępcy. Przykro mi, panie Leinen, ale do tej pory wszystko przemawia za oskarżeniem o morderstwo. – Reimers zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Jej kołnierzyk był ciemny. – Mój Boże, ale upał – powiedział.

– Tak – powiedział Leinen. Miał sucho w ustach, a jego język był obłożony.

– Proszę porozmawiać ze swoim klientem, może jednak będzie chciał zeznawać. Czasami to lepsze wyjście, w takiej sytuacji...

– Tak zrobię, dziękuję.

Leinen poszedł do swojego auta. Jakiś samochód dostawczy zatarasował wolne miejsce w szeregu zaparkowanych samochodów. Mężczyzna usiadł w cieniu, na ciepłych płytach przy jednej z bram. Tu panowała cisza. Czerwony pyłek kasztanowca pokrywał chodnik i trawę. Promienie słońca załamywały się nad rozgrzanym asfaltem, w którym niebo odbijało się jak w lustrze wody. Mogę po prostu zdjąć tabliczkę z drzwi kancelarii i o wszystkim zapomnieć, pomyślał Leinen.

O siedemnastej Leinen zadzwonił do drzwi kancelarii Mattingera. Gości przyjmowano w tak zwanym Pokoju Berlińskim, dużym pomieszczeniu, w którym znajdowało się tylko jedno okno i które łączyło front ze skrzydłami bocznymi oraz oficyną. Jedna z sekretarek powiedziała Leinenowi, żeby od razu poszedł do gabinetu Mattingera, ten już go oczekuje. Leinen zapukał, poczekał, nic nie usłyszał i wszedł do pokoju.

Pomieszczenie było ciemne, niewiele większe od biura Leinena. Stał tam prosty stół, przy nim drewniane krzesło z podłokietnikami, żadnych krzeseł dla gości, do tego żółta lampa i czarny telefon z tarczą. Ściany wyłożone były mahoniem, po bokach stały regały na książki, na obydwu oknach wisiały masywne drewniane żaluzje. Gabinet wyglądał jak z lat dwudziestych. Na biurku w skrzynce z czarnego drewna z jasnymi intarsjami leżały cygara. Mattinger trzymał nogi na stole i drzemał, jego krawat przekrzywił się, z prawego kącika ust spływała ślina. Przed mężczyzną leżało kilka akt w czerwonych obwolutach, po etykietach Leinen rozpoznał, że były one przyporządkowane innym adwokatom w kancelarii. Mattinger nagle obudził się, zobaczył Leinena, otarł usta i wstał.

– Jak się pan ma, panie Leinen? – zapytał. Nie czuć było od niego alkoholu, ale unosił się słodkawy zapach człowieka, który za dużo pije. – Wygląda pan na zmęczonego.

– Dziękuję, jest pan już trzecią osobą, która dziś mi to mówi.

– Więc to najpewniej prawda. Proszę pójść ze mną, tu jest za ciasno. Usiądziemy na balkonie.

– Podoba mi się wystrój pańskiego biura.

– Kupiłem to wyposażenie trzydzieści lat temu podczas remontu jednego z budynków przy Kurfürstendamm i kazałem je tu wstawić. Podobno należało do znanego notariusza.

– Jest wspaniałe.

– Może trochę za ciemne – powiedział Mattinger – ale przyzwyczailem się do niego.

Przeszli przez dwa duże pokoje konferencyjne i usiedli na jasnych plecionych krzesłach, stojących na balkonie pod markizą. Padał deszcz, woda na ulicy parowała.

Mattinger wszedł do pokoju konferencyjnego, Leinen usłyszał, jak

w sekretariacie prosi o napoje. Kiedy wrócił, wyjął z marynarki skórzane, zniszczone etui z cygarami. W swoim garniturze w jodełkę Mattinger wyglądał jak mężczyzna z lat dwudziestych.

– Pali pan cygara? Nie? Szkoda. – Z kieszeni kamizelki wyjął obcinarkę do cygar, wkręcił powoli w czubek, który wyciągnął razem z resztkami tytoniu. Zapalił cygaro długą zapalną. Wszystko musiał robić jedną ręką, ale najwyraźniej nie sprawiało mu to problemu.

– Zasięgnąłem o panu języka, panie Leinen.

– Naprawdę?

– Dwa świetnie zdane egzaminy, najlepszy na roku z prawa karnego, asystent w katedrze karnego prawa procesowego Uniwersytetu Humboldta, piętnaście publikacji w pismach prawniczych. – Mattinger zaciągnął się cygarem. – Przeczytałem wszystkie, niektóre z nich są naprawdę świetne.

– Dziękuję.

– Dostał pan propozycję pozostania na uczelni lub powołania na urząd sędziego. Obie pan odrzucił. Chciał pan koniecznie zostać adwokatem. Pański wykładowca uważa pana za nieprzeciętnie inteligentnego, ale powiedział też, że jest pan uparty i nieustępliwy. – Mattinger zaśmiał się.

Leinen również się roześmiał, ale poczuł się zakłopotany.

– Mówił panu takie rzeczy?

– Pański wykładowca i ja jesteśmy przyjaciółmi od wieków. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Sekretarka przyniosła kawę i wodę. Rozmawiali o Berlinie i Moabie, wymienili się anegdotami o sędziach i prokuratorach. Leinen obserwował Mattingera wydmuchującego dym. Powoli się odprężył.

– I jaką podjął pan decyzję, panie Leinen? Będzie pan bronił Colliniego?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Wracam właśnie z sekcji, była koszmar.

– Tak, zawsze tak jest. Nie wolno widzieć w zmarłym człowieka. Na stole leży tylko obiekt badań naukowych. Jeśli raz się to zrozumie, później jest to nawet interesujące. Ale całkiem chyba nigdy się to nie udaje.

Leinen obserwował Mattingera. Jego skóra była opalona, czoło, po którym przebiegały poprzeczne i pionowe zmarszczki, niskie, kurze łapki w kącikach oczu miały jaśniejszy kolor. Leinen czytał gdzieś, że Mattinger pomimo niepełnosprawności, kilka lat temu samotnie popłynął żaglówką z Hamburga do Ameryki Południowej.

– Więc jeszcze raz. Jak ocenia pan swoje szanse, jeśli się pan zdecydował?

– Marnie. Ślady krwi na ubraniu, resztki prochu na jego dłoniach, odciski palców na broni i łuskach naboju, biurku i ramie łóżka. Sam

zadzwoił na policję i do aresztowania siedział w hotelowym lobby. Nie widać żadnego innego potencjalnego sprawcy. Więc... z uniewinnienia nic raczej nie będzie.

– Może uda się panu obniżyć kategorię przestępstwa i z zarzutu o morderstwo będzie zarzut o zabójstwo.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, zabił Hansa Meyera, zachodząc go od tyłu. To przemawia za morderstwem. Ale wiem jeszcze za mało. Zależy, co powie Collini. I czy w ogóle coś powie.

– A motyw? W gazetach piszą, że nie jest znany. – Mattinger odwrócił się do Leinena i spojrzał mu prosto w oczy.

Leinen pomyślał, że jego wzrok jest hipnotyzujący.

– Zgadza się, ja też nic nie wiem. Hans Meyer był na wskroś przyzwoitym człowiekiem. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś go zastrzelił.

– Mówi pan „przyzwoity”? – Mattinger znów się odwrócił. – To się rzadko zdarza. Mam teraz sześćdziesiąt cztery lata i poznałem w moim życiu tylko dwóch przyzwoitych ludzi. Jeden z nich nie żyje od dziesięciu lat, a drugi jest mnichem w klasztorze we Francji. Proszę mi wierzyć, panie Leinen, ludzie nie są czarni albo biali... Są szarzy.

– Zabrzmiało to jak złota myśl z kalendarza – powiedział Leinen.

Mattinger zaśmiał się.

– Im człowiek starszy, tym złote myśli z kalendarza stają się prawdziwsze.

Obaj mężczyźni pili kawę i pograżyli się w myślach.

– Dziś jest już za późno – powiedział po chwili Mattinger – ale jutro powinien pan pójść do swojego klienta i zapytać, czy chce, żeby był pan jego obrońcą.

Leinen wiedział, że starszy adwokat ma rację. Jego klient siedzi w więzieniu już dobrych kilka dni, a on nawet nie zapytał go, dlaczego zabił Hansa Meyera. Po chwili uzmysłowił sobie, że prawie przysnął.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Muszę jechać do domu, całą noc pracowałem i jestem naprawdę zmęczony.

Mattinger wstał i odprowadził Leinena do drzwi. Szerokimi schodami z przełomu XIX i XX wieku Leinen zszedł na dół, na podłodze leżał czerwony sizalowy dywan, ściany były wyłożone zielonym marmurem. Kiedy stał na ostatnim stopniu, odwrócił się, bo nie słyszał odgłosu zamykanych drzwi. Mattinger wciąż stał na progu kancelarii i odprowadzał wzrokiem Leinena.

Królewskie Więzienie Śledcze zostało zbudowane w 1877 roku i od tego czasu wciąż je modernizowano. Była to trzypiętrowa czerwona ceglana budowla osadzona na planie gwiazdy, otaczającej okrągłą halę na środku. Obecnie to miejsce nazywa się Aresztem Śledczym Berlin-Moabit. Od ponad stu dwudziestu lat osadzani są tu więźniowie, cele mają tylko po kilka metrów kwadratowych, są wyposażone w łóżko, stół, krzesło, szafę, umywalkę i toaletę. Fabrizio Collini był więźniem z numerem 284/01-2, oddział II, cela 145. Stojąca za szybą funkcjonariuszka szukała nazwiska w spisie. Leinen podał jej postanowienie sądu rejonowego, wpisała go na listę. Od teraz Collini mógł otrzymywać od niego pocztę, której nie wolno było kontrolować żadnemu sędziemu. Zadzwoiła do strażnika przez wewnętrzny telefon i poprosiła o przyprowadzenie Colliniego do adwokata.

Leinen czekał przed jednym z pokoi widzeń z adwokatami, obok niego przechodzili strażnicy i więźniowie. Rozmawiali o nich jak o przedmiotach: „Dokąd zabierasz swojego? Mój właśnie wrócił od lekarza...”. Funkcjonariusze nie gardzili więźniami; większość z nich nie chciała nawet wiedzieć, co im się zarzuca. Strażnicy posługiwali się jak zawsze prostym językiem.

Fabrizio Collini szedł korytarzem w dół. Leinena wciąż drażnił jego wzrost, nawet nie widział funkcjonariusza idącego za mężczyzną. Weszli do pokoju widzeń. Do dwóch trzecich wysokości pomieszczenie pomalowane było żółtą farbą olejną, na środku stał stół z tworzywa sztucznego, dwa krzesła i umywalka. Na frontowej ścianie, wysoko, znajdowało się małe okno, za popielniczkę służyło metalowe pudełko po ciastkach, a przy drzwiach umieszczono czerwony przycisk alarmowy. Czuć było papierosami, jedzeniem i potem. Leinen usiadł plecami do okna, Collini naprzeciw niego. Miał na sobie niebieski strój więzienny, Wydział Zabójstw zabrał jego ubranie.

Leinen opowiedział mu o przyjaźni z Meyerami i obserwował ogromną, kościstą twarz Colliniego. Mężczyzna nie zareagował.

– Musimy sobie coś wyjaśnić, panie Collini. Czy moja przyjaźń z Meyerami stanowi dla pana problem?

– Nie – powiedział Collini. – On nie żyje. Już mnie to nie obchodzi.

– Co pana nie obchodzi?

– Meyer i jego rodzina.

– Ale najprawdopodobniej zostanie pan oskarżony o morderstwo. Może pan dostać dożywocie.

Collini położył obie ręce na stole.

– Przecież to ja zrobiłem.

Leinen przyglądał się ustom potężnego mężczyzny. Zgadza się, Collini to zrobił. Strzelił w głowę Meyerowi cztery razy, sprawił, że pracownicy Zakładu Medycyny Sądowej pocięli jego przyjaciela i zrobili z niego materiał pogładowy. Collini tak długo kopał w twarz Hansa Meyera, aż obcas z jego buta oderwał się. Leinen pamiętał tę twarz: zmarszczki, wąskie usta i uśmiech. Prawo wymaga ode mnie zbyt wiele, pomyślał, nie mogę go bronić, z trudem na niego patrzę.

– Ale dlaczego pan go zabił? – zapytał Leinen. Wziął się w garść.

Collini przyglądał się swoim dłoniom.

– Tymi rękami – powiedział.

– Tak, zrobił to pan. Ale dlaczego? Musi mi pan to powiedzieć.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– W takim razie nie mogę pana bronić.

Stalowa krata na świetliku rzucała nieostry cień na żółtą ścianę. Z korytarza dobiegał głos funkcjonariuszki wywołującej nazwisko więźnia. Collini wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni koszuli, pstryknięciem wyciągnął jednego i włożył do ust.

– Ma pan ogień? – zapytał.

Leinen pokręcił głową.

Collini wstał i podszedł do umywalki, potem do drzwi i z powrotem do umywalki. Leinen zrozumiał, że mężczyzna szuka czegoś, czym mógłby zapalić papierosa, i nagle zrobiło mu się przykro, że nie może w tym pomóc.

– Czy byłby pan gotowy przyznać się do winy? Jeśli uda nam się obniżyć kategorię przestępstwa, zawsze byłby to dla sądu powód do złagodzenia kary. Zrobiliby pan to?

Collini znów usiadł. Zdawał się wpatrywać w jeden punkt na pustej ścianie.

– Czy zrobiliby pan przynajmniej to? Musiałby pan jedynie powiedzieć, jak go zabił. Samo „jak”, nie „dlaczego”. Rozumie pan?

Po długim milczeniu Collini odparł:

– Tak – powiedział, po prostu tylko „tak”, nic więcej. Wstał. – Chciałbym teraz wrócić do celi.

Leinen skinął głową. Collini podszedł do drzwi. Nie podali sobie rąk. Rozmowa nie trwała nawet piętnastu minut.

Strażnik czekał na zewnątrz. Był to gruby mężczyzna o nalanym karku i w jasnobrązowej koszuli, jego mundur rozchodził się na brzuchu, odsłaniając podkoszulek. Strażnik spojrzał na klatkę piersiową Colliniego i odwróciwszy głowę, rzucił:

– No to idziemy.

Collini i strażnik szli obok siebie, jednak zanim znaleźli się przy pierwszej kracie na korytarzu, stało się coś dziwnego. Collini stanął w pół drogi, jak gdyby się nad czymś zastanawiał.

– Co jest? – zapytał strażnik.

Collini nie odpowiedział, stał nieruchomo i przez prawie minutę przyglądał się czubkom swoich butów. Potem zaczerpnął powietrza, odwrócił się i poszedł z powrotem do sali widzeń. Strażnik wzruszył ramionami i ruszył za nim. Collini otworzył drzwi, nie pukając.

– Panie obrońco – powiedział. Leinen chował właśnie swoje rzeczy i zaskoczony, podniósł wzrok. – Panie obrońco, wiem, że to nie jest dla pana łatwe. Przykro mi. Chciałem tylko podziękować. – Collini skinął głową w jego kierunku, nie wydawał się oczekiwać odpowiedzi. Odwrócił się i ruszył korytarzem z powrotem bez pośpiechu, stawiając duże kroki.

Leinen chciał opuścić budynek wyjściem dla adwokatów. Poszedł w złym kierunku, dopóki nie zatrzymała go funkcjonariuszka i nie poprowadziła. Potem musiał poczekać kilka minut przed drzwiami z pancernego szkła, aż otworzy się śluza. W tynku nad drzwiami były ubytki. Leinen przyglądał się strażnikom sprawdzającym dokumenty i zapisującym nazwiska w notesach. Tutaj, gdzie mężczyźni siedzieli w celach i czekali na wyrok bądź wolność, świat był ciasny. Nie było tu profesorów, podręczników, dyskusji. Wszystko było nieodwołalne i na poważnie. Mógł spróbować rzec się obrony. Nie musiał przecież bronić Colliniego, ten mężczyzna zabił jego przyjaciela. Można by prosto zakończyć wszystko, każdy by to zrozumiał.

Kiedy wyszedł na zewnątrz wzięt taksówkę i pojechał do domu. Gruby piekarz siedział na drewnianym krześle pod ustawionym przed sklepem parasolem.

– Jak się pan ma? – zapytał Leinen.

– Jest gorąco – powiedział piekarz. – Ale w środku jest jeszcze goręcej.

Leinen usiadł, przesunął krzesło z powrotem pod ścianę i zmrużył oczy, patrząc na słońce. Myślał o Collinim.

– A jak pan się ma? – zapytał piekarz.

– Nie wiem, co robić.

– W czym problem?

– Nie wiem, czy powinienem bronić pewnego człowieka. Zabił kogoś, kogo dobrze znałem.

– Jest pan przecież adwokatem.

– Hm... – Leinen westchnął.

– Wie pan co, codziennie o godzinie piątej rano podnoszę żaluzje, włączam światło i czekam na dostawę z wytwórni. Wkładam pieczywo do pieca konwekcyjnego, żeby się dopiekło, i od siódmej cały dzień sprzedaję to, co zostało dostarczone. Kiedy jest zły dzień, siedzę w środku, a jeśli dobry, to tu, na słońcu. Wolałbym oczywiście piec prawdziwy chleb w prawdziwej piekarni z prawdziwymi sprzętami i z prawdziwych składników. Ale jest inaczej.

Obok nich przeszła kobieta z dalmatyńczykiem i weszła do sklepu. Piekarz wstał z krzesła i poszedł za nią. Po kilku minutach wrócił i przyniósł dwie szklanki wody z lodem.

– Rozumie pan, o co mi chodzi? – zapytał.

– Nie do końca.

– Może kiedyś będę miał prawdziwą piekarnię. Kiedyś miałem, ale straciłem ją podczas rozwodu. Teraz pracuję tutaj i to wszystko, co mam. Tak po prostu jest. – Wypił wodę jednym haustem i rozgryzł kostkę lodu. – Pan jest adwokatem i musi robić to, co robią adwokaci.

Siedzieli w cieniu i przyglądali się pieszym. Leinen pomyślał o swoim ojcu. W jego świecie wszystko wydawało się proste i jasne, nie było tajemnic. Ojciec próbował mu wyperswadować zostanie adwokatem. To nie jest zawód dla ludzi, którzy chcą zachować przyzwoitość, mówił, wszystko jest zbyt skomplikowane, by mogło tak być. Leinen przypomniał sobie, jak pewnej zimy ojciec polował na kaczki. Strzelił, krzyżówka uderzyła z dużą siłą w pokrytą lodem sadzawkę. Pies ojca był jeszcze młody, popędził bez jakiegokolwiek komendy. Chciał aportować kaczkę. Na środku sadzawki lód był cienki, pies wpadł pod niego, ale nie poddał się. Utrzymał się w lodowatej wodzie i wyciągnął kaczkę na brzeg. Nie mówiąc ani słowa, ojciec zdjął kurtkę i wytarł go nią do sucha. Owiniętego kurtką, zaniósł do domu. Ojciec dwa dni siedział przy kominku ze zwierzakiem na kolanach. Kiedy pies doszedł do siebie, oddał go pewnej rodzinie mieszkającej na wsi. „Nie nadaje się do polowań”, tak powiedział.

Leinen odparł piekarzowi, że pewnie ma rację, i poszedł do swojego mieszkania. Wieczorem zadzwonił do Johanny. Powiedział, że nie mógł zrobić inaczej, musi dalej bronić Colliniego. Jego klient ma przyznać się do winy, to wszystko, co Leinen może zrobić. Rozmowa przedłużyła się.

Johanna na początku była wściekła, potem bezradna, a w końcu zrezygnowana. Wciąż pytała, dlaczego ten mężczyzna to zrobił. Nazywała go *tym mężczyzną*. Płakała.

– Mam do ciebie przyjechać? – zapytał na koniec. Długo milczała. W ciszy słyszał tylko brzęk uderzających o siebie drewnianych bransoletek.

– Tak – powiedziała w końcu – ale daj mi chwilę.

Kiedy skończyli rozmawiać, był zmęczony i poczuł się bardzo samotny.

Dwa tygodnie później Fabrizio Collini złożył wyjaśnienia. Ciasna sala przesłuchań mieściła się w starym budynku przy Keithstraße, w środku znajdowały się dwa jasnoszare biurka, okno, ledwo ciepła, lurowata kawa w kubeczkach. Krzesło, na którym siedział Collini, było dla niego za małe. Przesłuchanie prowadziło dwóch policjantów, przed nimi leżały akta prokuratury, żółte kartki przyklejone do niektórych stron oznaczały, że mieli jeszcze jakieś pytania. Starszy z nich kierował tym zespołem Wydziału Zabójstw, miał trójkę dzieci i słabość do pralinek. Trzydzieści sześć lat służby w policji nie sprawiły, że był cyniczny, tylko opanowany, w podejrzanych dostrzegał ludzi, pozwalał im mówić i słuchał ich. Drugi z nich, nowy w zespole i zdenerwowany, wcześniej pracował w Wydziale do Walki z Przestępczością Narkotykową. Częściej niż koledzy chodził na strzelnicę, jego buty były co rano wyczyszczone na błysk, czas wolny spędzał na siłowni.

Ten młodszy pokazał Colliniemu teczkę ze zdjęciami, w środku znajdowały się fotografie z miejsca zbrodni naklejone na żółty karton, bardzo dokładnie przedstawiające zmasakrowaną głowę ofiary. Leinen chciał zaprotestować, kiedy starszy surowym tonem powiedział koledze, że to nie jest konieczne, bo Collini przecież i tak ma przyznać się do winy. Policjant chciał zabrać teczkę ze stołu, ale Collini położył na niej swoje wielkie dłonie i przycisnął ją do blatu. Kiedy funkcjonariusz puścił teczkę, Collini przysunął ją do siebie i otworzył. Pochylił się i obejrzał wszystkie zdjęcia. Nie spieszył się. W sali długo panowała cisza. Kiedy skończył, zamknął teczkę i odsunął ją od siebie.

– On nie żyje – powiedział Collini, a mówiąc to, patrzył na stół. Potem wyjaśnił, że podał się za dziennikarza i przez telefon ustalił z sekretarką Meyera termin spotkania, że poszedł do apartamentu hotelowego i zabił mężczyznę. Spytany o broń, powiedział, że kupił ją na pchlim targu we Włoszech.

Leinen siedział obok swojego klienta, czasem poprawił jakieś zdanie, które policjanci chcieli zapisać w protokole, i rysował w notatniku ludziki.

Leinen wyjaśnił Colliniemu sytuację: podejrzany może zachować milczenie, ale jeśli przyzna się do winy, sędzia musi wymierzyć łagodniejszą karę. Powiedział, że nie dotyczy to morderstwa, tu karą zawsze jest dożywocie. Jednak w wypadku zabójstwa przyznanie się do winy pomaga.

Po dwóch godzinach policjanci nie mieli już pytań dotyczących samego czynu. Leinen wstał i oznajmił, że to koniec przesłuchania. Funkcjonariusze byli zaskoczeni.

– Panie Leinen, chcieliśmy przejść teraz do sedna: do motywu pańskiego klienta. Musimy o tym porozmawiać – powiedział starszy z nich.

– Przykro mi. – Ton Leinena wciąż był uprzejmy. Adwokat włożył notatnik do aktówki. – Fabrizio Collini przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu. Nie będzie składał dalszych wyjaśnień.

Funkcjonariusze zaprotestowali, ale Leinen obstawał przy swoim. Starszy z nich westchnął i zebrał akta, wiedział, że nic nie może zrobić. Młodszy policjant nie chciał dać za wygraną. Kiedy opancerzona furgonetka późnym popołudniem podjechała, żeby zabrać aresztowanego z komisariatu z powrotem do więzienia, mężczyzna usiadł tuż za Collinim. Powiedział, że może mówić i pod nieobecność adwokata. Stwierdził, że Leinen jest bez wątplenia miły, ale jeszcze młody i bez doświadczenia w sprawach o morderstwo. Niedoświadczeni adwokaci często źle doradzają klientom i pogarszają ich sytuację.

Collini nawet na niego nie spojrzał, wydawało się, że śpi. Kiedy policjant przybliżył się do niego i na głos powiedział jego imię, Collini odwrócił się do niego. Nawet w pozycji siedzącej był dużo wyższy. Nachylił się nad nim swoją wielką głową i wyszeptał:

– Wynocha.

Młody funkcjonariusz przesiadł się na drugi koniec wozu, Collini oparł się i znów zamknął oczy. Przez resztę drogi milczeli, później żaden policjant nie próbował rozmawiać z więźniem pod nieobecność jego adwokata.

Rutynowe prace dochodzeniowe rozpoczęły się jeszcze przed przesłuchaniem. Policja robiła wszystko, żeby dowiedzieć się czegoś o Collinim. W latach pięćdziesiątych przyjechał z Włoch do Niemiec jako gastarbeiter. Przyuczał się w Mercedesie w Stuttgarcie, tam zdał egzamin na majstra i pracował w firmie aż do przejścia na emeryturę przed dwoma laty. W aktach osobowych przedsiębiorstwa nie znajdowały się żadne istotne informacje, napisano, że był sumienny, solidny i rzadko chorował. Collini nie miał żony. Przez trzydzieści pięć lat mieszkał w tym samym mieszkaniu w Böblingen, w bloku z lat pięćdziesiątych. Czasami widywano go z jakąś

kobietą, wśród sąsiadów uchodził za spokojnego i sympatycznego człowieka. Nie był nigdy karany, policja w Böblingen nic o nim nie wiedziała. Od byłych kolegów z pracy śledczy dowiedzieli się, że wakacje spędzał zawsze u krewnych w pobliżu Genui, włoskie władze także nie były w stanie dostarczyć żadnych informacji.

Sędzia śledczy wydał nakaz przeszukania mieszkania Colliniego. Tam policja również nie znalazła nic, co wiązałoby się z morderstwem. To samo wykazało śledztwo finansowe, jego sprawy były uregulowane. W ramach prośby o udzielenie pomocy prawnej we Włoszech próbowano zidentyfikować broń, ale nic nie wskazywało na to, że była narzędziem innego przestępstwa.

Mimo że oskarżyciele badali każdy trop, po sześciu miesiącach znaleźli się w punkcie wyjścia: mieli ofiarę i sprawcę, który przyznał się do winy, ale nic poza tym. Nadkomisarz, który prowadził śledztwo, regularnie zdawał sprawozdania prokuratorowi naczelnemu Reimersowi. Na koniec wzruszał ramionami. Powiedział, że biorąc pod uwagę sposób popełnienia przestępstwa, musi chodzić o zemstę, ale nie widzi żadnego związku między sprawcą a ofiarą, Collini był zwykłym obywatelem. Kiedy Collini nie zgodził się na zbadanie przez biegłego psychiatrę, policji i prokuraturze zabrakło poszlak do dalszego śledztwa.

Prokurator naczelny Reimers dał funkcjonariuszom policji kryminalnej tyle czasu, ile mógł. W toku niektórych śledztw wychodziły na jaw zaskakujące rzeczy, drobne szczegóły, które wszystko wyjaśniały. Należało zachować cierpliwość i spokój. Jednak w tym postępowaniu było inaczej, nic nie zmieniło się od pierwszego dnia. Reimers czekał miesiącami, aż w końcu usiadł przy biurku, przeczytał akta raz jeszcze, napisał raport końcowy i akt oskarżenia. Oczywiście nie musiał znać motywu Colliniego, żeby oskarżyć go o morderstwo; to jego sprawa, jeśli winny nie składa wyjaśnień, nikt nie może go do niczego zmusić. Ale Reimers nie lubił nierozwiązanych spraw. Chciał spać spokojnie, wiedząc, że wszystko zrobił jak należy.

Zanim opuścił wieczorem biuro, położył akta i oskarżenie na drewnianym stojaku z różnymi przegródkami – wynalazek pruskiej administracji. Nazajutrz zostaną stamtąd zabrane przez strażnika, nazywano to *wynoszeniem*. Oskarżenie zostanie ostemplowane, ktoś zanieś je do biura podawczego sądu krajowego i dokumentom nadana zostanie sygnatura akt sądu przysięgłego. Reimers wykonał swoją pracę, sprawa potoczy się swoim torem i od tej pory nie ma na to wpływu. Jednak kiedy szedł do domu, czuł niepokój.

Miesiące po aresztowaniu Colliniego należały dla Caspara Leinena do dobrych. Kilka razy wspomniano o nim w lokalnej prasie i zyskał nowych klientów: sześć spraw o narkotyki, oszustwo, małe sprzeniewierzenie w pewnej firmie i bójka w knajpie. Leinen pracował dokładnie, lubił przesłuchiwać świadków i nie przegrał w tym czasie ani jednego procesu. Powoli rozeszło się, że jest obrońcą, którego trzeba traktować serio.

Raz w tygodniu odwiedzał Colliniego w areszcie. Jego klient nigdy o nic nie prosił ani nie narzekał. Był uprzejmy i spokojny, milczał zapytany przez Leinena o motyw. Choć ten wciąż mu tłumaczył, że jeśli tak dalej będzie, nie jest możliwa sensowna linia obrony, Collini milczał lub mówił czasem, że nikt nie może już nic zmienić.

Mattinger i Leinen często na godzinę spotykali się wieczorami na balkonie kancelarii. Starszy adwokat palił cygaro i opowiadał o wielkich procesach karnych lat siedemdziesiątych. Leinen chętnie go słuchał. O sprawie Colliniego nie rozmawiali.

Dwa dni po tym, jak oskarżenie trafiło do kancelarii Leinena, zadzwoniła Johanna. Jej głos brzmiał obco, kiedy mówiła, że muszą porozmawiać, i zapytała, czy mógłby przyjechać do Monachium. Trasę z Berlina do Monachium Leinen pokonał starym mercedesem, którego podarował mu ojciec. Zaparkował przed hotelem Cztery Pory Roku przy Maximilianstraße, firma miała tam na stałe zarezerwowane dwa pokoje od frontu, drogi widok.

Po południu miało się odbyć spotkanie w przedstawicielstwie Przedsiębiorstwa Maszynowego Meyerów. W sali konferencyjnej stał duży, owalny stół z drzewa orzechowego, wisiały zielone zasłony, wszystko to znał. Jako dziecko często bywał tu z Meyerem. Przy tym stole siedział, czytał i czekał, aż starszy pan go zabierze. Teraz na miejscu, które przeważnie zajmował jej dziadek, siedziała Johanna. Podeszedł do niej i pocałował ją w policzek. Była poważna i nie spojrzała na niego. Nikt nie tknął ciastek położonych na porcelanowych talerzach.

Prawnik wewnętrzny był niskim mężczyzną o nerwowych ruchach, kiedy mówił, spinki do mankietów uderzały o blat. Po pięciu minutach Leinen zdał sobie sprawę, że spotkanie nie ma sensu. Prawnik nie miał nic do powiedzenia. Wyjaśnił, że przejrano nawet archiwa firmowe, ale nic nie znaleziono, nawet rachunku wystawionego przez Colliniego albo na kogoś o tym nazwisku. Mężczyzna wciąż powtarzał zdania, które padają podczas podobnych spotkań: „Zgadzam się z panem”, „Wkrótce podejmiemy decyzję” lub „Pozostajemy w kontakcie”. Zaprosił Leinena tylko dlatego, gdyż chciał się dowiedzieć, co planuje obrona, i kiedy zrozumiał, że Leinen jest tak samo bezradny jak i on, rozmowa szybko się zakończyła.

Leinen przeszedł przez ulicę i wrócił do hotelu. Jego bagaż był już w pokoju. Rozebrał się i poszedł do łazienki. Wziął tak gorący prysznic, że aż bolała go skóra. Powoli się rozluźniał. Kiedy wszedł nago do pokoju, przy oknie stała Johanna, musiała mieć drugi klucz. Uchyliła lekko jedną z zasłon i spoglądała na ulicę, jej sylwetka rysowała się na tle niebiesko-zielonego nieba. Nie powiedział nic, stanął za Johanną, ona w milczeniu oparła się o niego, jej włosy dotykały jego klatki piersiowej. Objął ją, gładził jego ręce. Na zewnątrz padał śnieg, samochody sunęły bezgłośnie, dach kolejki był biały. W pewnym momencie Caspar rozsunął zamek jej sukienki, zdjął ją

z jej ramion i rozpiął stanik. Na dole ze sklepu naprzeciwko wychodził z zakupami mężczyzna, poślizgnął się, odzyskał równowagę, musiał wypuścić z rąk torby, małe pomarańczowe pudełka upadły na śnieg. Caspar pocałował ją w kark, jej szyja była ciepła, kobieta wzięła jego dłonie i przycisnęła do swoich małych piersi. Wyciągnęła ręce do tyłu i zaczęła go masować. Mężczyzna na ulicy zbierał paczki i gestem wezwał taksówkę. Johanna odwróciła się, miała rozchylone usta, Caspar pocałował ją, jej policzki były mokre, smakowały solą. Objęła jego twarz, trzymała ją w dłoniach, przez chwilę stali w bezruchu. Potem znów odwróciła się do okna, oparła się o kaloryfer i wygięła plecy. Wszedł w nią, widział jej łopatki, białą skórę, cienką warstwę kremu na plecach, a wszystko było kruche, ulotne i działo się jednocześnie.

Dużo później leżeli na łóżku, byli zmęczeni i nie czuli pożądania, rozmawiali o Philippie, Roßthal i wspólnych wakacjach, aż słowa zaczęły się powoli rozmywać. Caspar Leinen we śnie zacisnął pięści, jakby chciał zatrzymać to, co ulatuje.

Obudził się wcześniej. Johanna leżała na plecach z głową na łokciu, oddychała spokojnie i miarowo. Leinen długo się jej przyglądał, potem wstał, ubrał się po ciemku, zostawił jej kartkę i cicho zamknął drzwi. Lobby było przepełnione z powodu konferencji przedstawicieli firmy, panował gwar.

Wyszedł na zewnątrz i wsiadł do kolejki. Ludzie wyglądali na zmęczonych, niektórzy spali, szyby były zaparowane. Wysiadł na stacji Tivolistraße, przeszedł przez ogród angielski i brnąc w śniegu, poszedł nad jezioro Kleinhesseloher. Niecały kilometr od ulicy, w środku miasta, zobaczył je: perkozki, czernice, głowienki, hełmiatki i kaczki krzyżówki, łyski, gęsi gęgawe i gęsi tybetańskie, a przede wszystkim czarnowrony. Jego ojciec nauczył go nazw ptaków, kiedy Caspar był dzieckiem. Kruki, powiedział, wiedzą wszystko. Leinen starł śnieg z ławki, usiadł i tak długo przyglądał się ptakom, aż jego twarz przemarzła, a ramiona zeszywniały z zimna.

Późnym popołudniem odebrał Johannę z przedstawicielstwa firmy. Pojechali jego samochodem do Roßthal. Chcieli przejrzeć prywatne notatki Hansa Meyera i znaleźć jakąś odpowiedź. Roßthal znajdowało się tylko godzinę drogi od Monachium, ale kiedy przyjechali na miejsce, zdawało się, że to inny świat. Dom i park leżały pod śniegiem, wszystko w bladym zimowym świetle. Pojechali wzdłuż gazonu i zaparkowali przy schodach. Drzwi otworzyła pani Pomerenske, ostatnia gosposia Meyera. Zeszła do nich

chwiejnym krokiem i ze łzami w oczach objęła Johannę.

– Ach, Caspar – powiedziała – jak dobrze, że i pan wrócił do domu. – Rozpaliła ogień w dużym kominku i powiedziała, że kolacja jest w kuchni, trzeba ją tylko odgrzać. Potem wróciła do swoich dwóch pokoi przy pomieszczeniu gospodarczym, później słyszeli dochodzący stamtąd dźwięk telewizora.

Johanna i Leinen przeszli przez pokoje, meble i lampy stały przykryte białymi narzutami, a okiennice były zamknięte. Panował chłód i spokój. Jedynie w bibliotece tykał zegar, ktoś jeszcze co dzień go nakręcał. W gabinecie światło wpadało przez szpary w zasłonach i dzieliło biurko na szerokie pasy. Tutaj każdego dnia Hans Meyer czytał gazetę. W kuchni zawsze ją prasowano, by była sztywna, a farba drukarska nie brudziła palców. Stali w pokoju bez ruchu i przyglądali się biurku. Johanna pierwsza wyrwała się z odrętwienia, objęła Leinena i pocałowała go, zdało mu się, że chciała się upewnić, czy żyją.

Zdjęli z biurka narzutę, obydwie szuflady były otwarte, w środku leżał papier listowy w różnym formacie i koperty, kolekcja długopisów, dwa stare wieczne pióra, dyktafon z czystymi kasetami. Na regałach stały niezliczone segregatory na dokumenty, starannie opisane, bilanse, zeszyt wydatków na dom, zaproszenia, korespondencja firmowa i prywatna, uporządkowana alfabetycznie i według lat. Usiedli na dwóch ciemnozielonych kanapach i przeglądali rząd albumów ze zdjęciami; fotografie były ułożone chronologicznie. Leinen przypomniał sobie, jak oglądali je kiedyś z Philippem; uroczystości rodzinne, wycieczki, wakacje we Włoszech, safari w Afryce, polowania w wysokich górach w Austrii. Znał większość twarzy. Johanna znalazła segregator z napisem „Caspar Leinen”. Hans Meyer wklejał tam dyplomy, które Leinen przysyłał mu jako dziecko; krajowe zawody sportowe dla młodzieży, karta pływacka, drugie miejsce w mistrzostwach internatu w biegu zjazdowym. Później Hans Meyer kazał przysyłać sobie z działu prawnego firmy artykuły i omówienia wyroków, które Leinen pisał do prasy prawniczej. One również były wpięte w przezroczystych koszulkach do segregatora. Czasami Meyer zakreślił jakieś zdanie albo zapisywał znak zapytania na końcu akapitu.

Po kilku godzinach zgłodnieli. Poszli do kuchni. Był rostbef i jeszcze ciepły chleb, który upiekła dla nich kucharka. Rozmawiali cicho, bo dźwięki nabierały w ciemności złęgo brzmienia. Johanna opowiadała o swoim małżeństwie. Powiedziała, że mąż był przy niej, kiedy umarli rodzice, co dzień chronił ją przed samotnością, przed śmiercią. Jednak codzienność powoli zaczęła ją przerastać. W końcu nie mogła już ścierpieć go przy

śniadaniu, wiedziała, że do wieczora to minie, ale przy śniadaniu po prostu nie mogła na niego patrzeć. Wytrzymała tak dwa lata, dłużej się nie dało. Teraz każde z nich od dawna żyje swoim życiem, ona w Londynie, on w Cambridge. Nie potoczyło się tak, jak sobie wyobrażali.

Potem zdjęli narzutę ze starego fortepianu. Johanna zagrała, ale instrument marki Blüthner był rozstrojony, brzmiał głucho i fałszywie w pustym domu. Następnie poszli na górę do jej dziecięcego pokoju. Kochali się pod kocami, bez pośpiechu i w bliskości, czuli ciepło swojej skóry. Jak rozbitkowie na tratwie, pomyślał Leinen. Wtedy zrozumiał, że się nie kochają, to słowo nic nie znaczyło, po prostu ze sobą byli.

Kiedy się obudził, zdawało mu się, że tak jak kiedyś co rano słyszy szczekanie psów i brzęk naczyń dochodzący z jadalni, że w pokoju pojawia się na chwilę Philipp. Wyglądał jak zwykle o tej porze, blady, z rozczochranymi włosami, w piżamie i niezawiazanym szlafroku. Trzymał papierosa w kąciку ust, uśmiechnął się i pomachał do niego. Leinen usiadł na parapecie. W nocy znów napadało. Ciemny żuraw stojący przed oranżerią przykryty był śniegiem, jego dziób wydawał się zamarznięty w skutej lodem fontannie.

Następnego przedpołudnia przeszukali strych i piwnicę, zajrzeli do każdego segregatora, pudła i szafki, ale nie znaleźli nic, co wyjaśniłoby czyn Colliniego. Później Johanna odprowadziła Leinena do samochodu. Zanim przejechał przez bramę, jeszcze raz się obejrzał; sylwetka Johanny rozmyła się w zaparowanej tylnej szybie, kobieta, oparta o jedną z białych kolumn przy wejściu, spoglądała w jasno rozświetlone zimowe niebo.

Dwunasta Wielka Izba Karna, jeden z ośmiu sądów przysięgłych przy Sądzie Krajowym w Berlinie, przyjęła oskarżenie przeciw Colliniemu do rozpoznania. Jak zwykle w wypadku dużych procesów nie zaplanowano na ten dzień żadnych innych czynności dowodowych, udział miał wziąć tylko biegły psychiatra, by wydać później opinię o Collinim. Lista świadków na kolejne posiedzenia również nie była długa. Przed sądem mieli stanąć goście hotelowi i kilkoro pracowników hotelu, funkcjonariusze przeprowadzający przesłuchanie i inni policjanci, pracownicy Zakładu Medycyny Sądowej oraz biegły w dziedzinie broni. Przewodnicząca składu sędziowskiego uznała proces za gotowy do rozpoczęcia i zaplanowała rozprawę główną na dziesięć dni.

W telewizyjnych wiadomościach pokazywano Mattingera, zawsze mówił to samo: „Sprawę rozstrzygnie sąd”. Mówiąc to, sprawiał wrażenie przyjaznego i inteligentnego; miał na sobie trzyczęściowy ciemny garnitur, krawat w srebrnym kolorze, a jego włosy były siwe. Kiedy wyłączono kamery, wyjaśnił dziennikarzom, od czego wszystko zależy. Prasa opisywała dawne sprawy Mattingera. Jedna z nich była bardzo znana; kobieta złożyła doniesienie na swojego męża z powodu gwałtu. Istniały typowe poszlaki: krwiaki na wewnętrznych stronach ud kobiety, sperma mężczyzny w pochwie, szczegółowe, spójne zeznania na policji. Mężczyzna był już wcześniej dwukrotnie karany z powodu przestępstwa uszkodzenia ciała. Przewodniczący wypytywał kobietę, był skrupulatny, przez dwie godziny drażył każdy szczegół jej wypowiedzi. Prokuratura nie miała pytań. Jednak Mattinger nie wierzył kobiecie. Jego pierwsze pytanie brzmiało: „Czy chciałaby pani przyznać się, że kłamała?”. Zaprzeczyła. O jedenastej zaczął zadawać pytania, o osiemnastej sąd odroczył proces. Przewodniczący poprosił obrońcę do ławy sędziowskiej, zaproponował korzystną dla oskarżonego ugodę, łagodna kara za przyznanie się do winy. Mattinger podniósł głos: „Czy pan nie widzi, jak zdemoralizowana jest ta kobieta?”. Następnego dnia procesu Mattinger zadawał kolejne pytania. W efekcie jako świadek kobieta zeznawała przez pięćdziesiąt siedem dni i musiała odpowiadać na jego pytania. Pięćdziesiątego ósmego przyznała, że z zazdrości chciała posłać swojego męża do więzienia. Ostatnie pytanie

brzmiało tak jak pierwsze: „Czy chciałaby pani przyznać się, że kłamała?”. Tym razem przytaknęła. Oskarżony został uniewinniony. Mattinger nie mógł znieść niesprawiedliwości albo przegranej. W każdym razie nigdy się nie poddawał.

W te dni starszy adwokat co noc siedział przy swoim biurku, z Kurfürstendamm widać było światło. Jednak w noc przed pierwszym dniem rozprawy poczuł się staro. Chciał iść spać. Jego żona nie żyła od piętnastu lat, mimo to rankiem we śnie ręką sprawdzał jej obecność i prawie zawsze ogarniał go strach, bo jej nie było. Siedział przy jej łóżku, kiedy umierała. Najpierw zdiagnozowano raka narządów rodnych, potem kolejne przerzuty, w końcu lekarze powiedzieli, że nie ma już nadziei. Jej zapach od tygodni zmieniał się, przyjmowała za dużo lekarstw, za dużo morfiny. Siedział przy łóżku i trzymał ją za rękę, również tego ostatniego dnia, gdy na EKG widać było już tylko poziomą linię. Lekarze powiedzieli, że nic nie czuła. Ulżyło mu, kiedy umarła, ale później się tego wstydził. Wstał i otworzył okno. Idący po ulicy koło szpitala ludzie nieśli zakupy do domu, szli ramię w ramię, telefonowali, kłócili się, rozmawiali, śmiali się. Mattinger pomyślał, że nie jest już jednym z nich.

Zapalił cygaro i znów pochylił się nad papierami. Kiedy gasił światło o drugiej nad ranem, znał akta prawie na pamięć.

Tamtej nocy Caspar Leinen również nie spał. Został w kancelarii do wpół do czwartej rano. Na całym biurku leżały stosy papierów, akta podzielił na te z zeznaniami świadków, biegłych, policyjne raporty i ekspertyzy dotyczące śladów. Leinen czegoś szukał, ale nie wiedział czego. Umknął mu jakiś szczegół. Gdzieś musiał być klucz, który wyjaśniłby morderstwo i wszystko uporządkował. Palił za dużo, był zdenerwowany i bał się. Na stoliku stała szachownica należąca do Hansa Meyera, stare figury stały na stosach papierów. Leinen myślał o Johannie, cztery czarno-białe zdjęcia zrobione w automacie przyklejone były taśmą do klosza stojącej na biurku lampy. Kobieta miała przyjechać następnego dnia, chciała zobaczyć mordercę swego dziadka. Oglądał zdjęcia i poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Odszukał swoją aktówkę. Włożył do środka tylko akt oskarżenia, więcej nazajutrz nie potrzebował. Potem wsunął figurę białego króla do kieszeni spodni, włożył płaszcz, przewiesił togę przez ramię i wyszedł z biura.

Popołudniowe niebo było bezchmurne i chłodne. Myślał o tym, że następnego dnia trzech sędziów i dwóch przysięgłych, prokurator, oskarżyciel posiłkowy i on sam będą sędzić oskarżonego. Ośmioro ludzi

z ośmioma życiorysami, każdy z własnymi oczekiwaniami, obawami i uprzedzeniami. Będą kierować się kodeksem postępowania karnego, starą ustawą, która opisuje przebieg procesu. Na jego temat powstały setki książek, a wyroki unieważniano, gdy jeden z przeszło czterystu zawartych w kodeksie paragrafów nie został uwzględniony. Leinen, przechodząc obok kancelarii Mattingera, podniósł wzrok na okna. Mężczyzna powiedział, że każdy proces powinien być walką o prawo, taka była intencja twórców ustaw. Reguły są jasne i twarde, i tylko jeśli są przestrzegane, może istnieć sprawiedliwość.

Pod kasetonami reklamowymi przy Kurfürstendamm stały prostytutki, jedna z nich zagadnęła Leinena, grzecznie odmówił i idąc przez pogrążony we śnie Berlin, dotarł do domu.

O szóstej strażnicy rozpoczęli rundę po salach sądu, musieli porozwieszać przy drzwiach kartki z terminami rozpraw. Było na nich napisane przeciwko komu i kiedy odbywa się rozprawa. Funkcjonariusze będą potrzebować około godziny, sąd składa się z dwunastu dziedzińców, siedemnastu klatek schodowych, co dzień toczy się tu około trzystu postępowań. Obok wysokich dwuskrzydłowych drewnianych drzwi z numerem 500, największej sali rozpraw w Moabicy, strażnik przyczepił pinezką kartkę:

„Dwunasta Wielka Izba Karna – sąd przysięgłych – proces o morderstwo przeciwko Fabrizio Colliniemu – godzina 9.00”.

Kawę poproszę. – Caspar Leinen spał krótko, buzowała w nim adrenalina, był pobudzony. Siedział w Weilers, kawiarni naprzeciw sądu. Wszyscy tam przychodzili, jedli ciasto domowego wypieku i kanapki. Niektórzy mówili, że Weilers to właściwe centralny punkt sądu karnego. Co dzień przesiadywali tam adwokaci, prokuratorzy, sędziowie i biegli, omawiano procesy, negocjowano ugody.

– Już podaję. Wcześniej dziś pan przyszedł – powiedziała dziewczyna z obsługi, ładna Turczynka, o której krążyło w Moabicie wiele historii.

Leinen był w kawiarni już o ósmej rano, na godzinę przed rozpoczęciem procesu. Na chodniku przed sądem ekipy telewizyjne ustawiały kamery, wozy transmisyjne zajmowały połowę chodnika, operatorzy w grubych płaszczach i dziennikarze w przyciasnych garniturach stali na mrozie. Co większe stacje załatwiły zgodę na filmowanie wewnątrz budynku sądu. Weilers też był pełen reporterów, starali się sprawiać wrażenie zorientowanych.

Do kawiarni weszła grupa młodych prokuratorów, Leinen znał jednego z nich z czasów aplikacji. Opowiadali stare dowcipy o bogatych adwokatach i biednych prokuratorach. Leinen usłyszał, że nikt z Wydziału Prokuratury do Spraw Ciężkich Przestępstw nie spodziewa się niespodzianek.

Leinen dopił kawę i pożegnał się, któryś z prokuratorów poklepał go po ramieniu i życzył powodzenia. Zapłacił przy barze za kawę i przeszedłszy przez ulicę, skierował się do głównego wejścia. Pokazał funkcjonariuszom legitymację, ominął długą kolejkę oczekujących na wejście i stanął w głównym holu sądu. Wciąż robił na nim ogromne wrażenie. Hol był wysoki na trzydzieści metrów, jak katedra. Kamiennie rzeźby nad schodami groźnie spoglądały w dół, alegorie wiary, sprawiedliwości, swarliwości, harmonii, kłamstwa i prawdy. Oskarżeni i świadkowie mieli czuć się maluczcy i bać się potęgi sądu. Nawet na każdej płycie podłogowej widniały litery KSK, abrewiatura *Królewskiego Sądu Kryminalnego*. Z bocznego skrzydła Leinen wjechał służbową windą na pierwsze piętro i wszedł do sali numer pięćset.

Choć był to normalny dzień pracy, na ławkach dla publiczności siedziało około stu trzydziestu osób stłoczonych obok siebie. Zainteresowanie prasy było tak duże, że dziennikarze musieli losować miejsca siedzące. Rozczarują

się, gdyż podczas pierwszego dnia takiego procesu zazwyczaj odczytywany jest tylko akt oskarżenia.

Mimo że wszystkie ważne gazety wysłały swoich reporterów, Leinen nie znał żadnej twarzy. Cztery ekipy telewizyjne biegały po sali i filmowały co się dało: stopy akt, kodeksy prawne i oczywiście Fabrizio Colliniego. Mężczyzna siedział w szklanej kabinie za ławą obrońców, prawie nie było go widać. Kręcono banalne ujęcia.

Prokurator naczelny doktor Reimers siedział od strony okna, spoglądał na zegar. Przed nim leżały cienkie czerwone akta, w środku znajdował się tylko akt oskarżenia, więcej na ten dzień nie przewidziano. To miał być krótki dzień procesu. Obok prokuratora, oddzielony szklaną szybą, stał Mattinger, przedstawiciel oskarżyciela posiłkowego.

Leinen poszedł na swoje miejsce, wyjął z torby akt oskarżenia i postawił przed sobą na stole białego króla z szachów Meyera. Żeby nie rozmawiać z prasą, Johanna pojawiła się jako ostatnia. Leinen z trudem znosił jej obecność po drugiej stronie.

Tuż po godzinie dziewiętej protokolantka powiedziała do mikrofonu: „Proszę wstać”. Kiedy wszyscy z publiczności i strony postępowania wstali, otworzyły się małe drzwi za ławą sędziowską. Leinen wiedział, że za nią znajduje się sala obrad, a w niej długi stół, krzesła, telefon i umywalka.

Jako pierwsza na salę weszła przewodnicząca składu sędziowskiego, jej lewa dłoń lekko drżała. Stała przed środkowym, z pięciu wysokich krzesel, po obu jej stronach dołączyło dwóch sędziów zawodowych, a ławnicy zajęli zewnętrzne miejsca. Wszyscy oprócz ławników mieli na sobie czarne togi. Stali i przez trzy, cztery minuty przyglądali się ekipom telewizyjnym.

– Panie i panowie, już wystarczy, proszę opuścić salę – powiedziała przewodnicząca uprzejmie. Jeden ze strażników otworzył drzwi, dwóch innych stanęło przed kamerami i rozłożyło ręce.

– Słyszeli państwo, co powiedziała przewodnicząca, proszę opuścić salę. Po chwili w sali zapanował spokój.

– Czy oskarżony został doprowadzony? – zapytała przewodnicząca protokolantkę siedzącą po prawej stronie. Również i ona miała na sobie togę. Włosy młodej kobiety związane były w koński ogon.

– Tak – powiedziała.

– Dobrze, więc zaczynamy. – Przewodnicząca zrobiła pauzę i przysunęła mikrofon do siebie. – Otwieram posiedzenie Dwunastej Wielkiej Izby Karnej w postępowaniu przeciw panu Fabrizio Colliniemu. Proszę usiąść.

Następnie sprawdziła obecność stron procesu, odczytała skład sędziowski i zapytała Colliniego o wiek, zawód i stan cywilny. Potem odwróciła się do prokuratora naczelnego i poprosiła go o odczytanie aktu oskarżenia. Reimers na stojąco odczytał krótki tekst, trwało to niecałe piętnaście minut, morderstwo można opisać szybko i zwięźle. Przewodnicząca wyjaśniła, że sąd przyjął akt oskarżenia do rozpoznania na rozprawie głównej, szczegółowo pouczyła Colliniego o jego prawie do milczenia. Protokolantka zapisała w komputerze: „Oskarżony zostaje pouczony o przysługujących mu prawach”. Potem przewodnicząca zwróciła się bezpośrednio do Leinena:

– Panie obrońco, z pewnością omawiał pan to już ze swoim klientem. Czy oskarżony chce zeznawać?

Leinen włączył stojący przed nim mikrofon, zapaliła się czerwona lampka.

– Nie, pani przewodnicząca, pan Collini na razie nie będzie zeznawał.

– Co ma znaczyć *na razie*? Czy oskarżony będzie zeznawał później?

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy.

– Czy jest to również pańskie stanowisko, panie Collini? – zapytała oskarżonego przewodnicząca. Collini przytaknął. – Dobrze więc – powiedziała i uniosła brwi. – To tyle na dziś. Odraczam rozprawę do najbliższej środy. Strony postępowania zostały wezwane. Zamykam posiedzenie. – Jedną ręką zakryła mikrofon i powiedziała:

– Panie Reimers, panie Mattinger, panie Leinen, proszę zostać jeszcze chwilę. Chciałabym z panami porozmawiać po posiedzeniu.

Leinen odwrócił się do Colliniego, żeby się pożegnać, ale jego klient już wstał i podszedł do strażników. Minęło prawie piętnaście minut, zanim na sali nie było nikogo. Kiedy zostali sami, przewodnicząca powiedziała:

– Panowie, wszyscy wiemy, że to nietypowy proces. Ofiara miała osiemdziesiąt pięć lat, oskarżony sześćdziesiąt siedem. Nie był wcześniej karany i żył nienagannie. Mimo długiego śledztwa nie udało się ustalić motywu. – Spojrzała na prokuratora naczelnego Reimera surowo, krytyczna ocena pracy prokuratury była ewidentna. – Chciałabym panom powiedzieć, że nie lubię niespodzianek. Jeśli obrona, prokuratura lub oskarżyciel posiłkowy planują składanie jakichś wniosków czy wyjaśnień, to teraz jest najlepszy moment, żeby poinformować o tym sąd.

Przewodnicząca, Reimers i Mattinger spojrzeli na Leinena. Nie było wątpliwości; potrzebowali motywu Colliniego i czekali na to, że Leinen popełni błąd.

– Pani przewodnicząca – powiedział Leinen. – Wie pani, że mają

państwo dużo większe doświadczenie niż ja i że jest to mój pierwszy proces z udziałem sędziów przysięgłych. Dlatego proszę mi wybaczyć, że zapytam, czy dobrze panią zrozumiałem. Chce pani wiedzieć, w jaki sposób pan Collini będzie się bronił? Przed chwilą podczas rozprawy powiedział pani, że na razie zachowa milczenie. Czy chce pani dowiedzieć się ode mnie czegoś więcej?

Przewodnicząca uśmiechnęła się. Leinen odwzajemnił uśmiech.

– Widzę – powiedziała – że nie musimy się martwić, możemy być spokojni o rzetelną obronę świadka. Pozostanmy więc przy tym. Życzę miłego dnia, widzimy się we środę.

Reimers zebrał swoje dokumenty, Leinen i Mattinger poszli w kierunku wyjścia. Mattinger położył rękę na ramieniu Leinena.

– Dobra robota, Leinen – powiedział. – A teraz prasa. – Spojrzał porozumiewawczo na Leinena i otworzył dwuskrzydłowe drzwi. Oślepiły ich błyski fleszy. Mattinger stanął przed kamerami, w świetle lamp. Mimo że jego skóra była opalona, wyglądał na bladego; Leinen słyszał, jak mężczyzna wciąż powtarza:

– Panie i panowie, proszę poczekać do końca procesu. Przykro mi, ale nie będę teraz nic komentował. Proszę o cierpliwość.

Leinen precyzyjnie przesunął się między dziennikarzami.

Przed sądem w taksówce czekała Johanna. Pojechali do pałacu Charlottenburg. Każde spoglądało przez okno po swojej stronie, nie wiedzieli, co mieliby mówić. Na słońcu było gorąco, ale park za pałacem znajdował się w cieniu i wiał zimny wiatr. Starsza kobieta dokarmiała ptaki, to musiały być jeszcze resztki karmy z zimy.

– Wrony nie żebrzą – mruknęła pod nosem.

Szli długo obok siebie, nie mówiąc ani słowa. Ich buty były za cienkie i nie nadawały się do chodzenia po żwirowej alejce. Jasnoniebieski miedziany dach herbaciarni lśnił w słońcu. Znad Szprewy słyszeli głos dochodzący z megafonu na statku wycieczkowym. Starsza kobieta usiadła na ławce. Miała na sobie czerwone wełniane rękawiczki bez palców. Torebka z karmą dla ptaków była pusta.

Nagle Johanna zatrzymała się i spojrzała na Leinena. Pierwszy raz zauważył małą bliznę nad jej prawą brwią.

– Zimno mi – powiedziała. – Chodźmy do domu. Do Londynu wracam już jutro.

Leinen wynajmował to mieszkanie jeszcze jako aplikant, nie lubił

przeprowadzek, wystarczało mu tyle miejsca, ile miał. Było to dwupokojowe, typowe berlińskie mieszkanie w starym budownictwie, ściany pomalowane wapnem, wysokie sufity, parkiet, wąska łazienka. Wzdłuż prawie wszystkich ścian stały regały, wszędzie indziej też leżały książki: na podłodze, kanapie, krzesłach, na brzegu wanny. Johanna wszystko obejrzała. Między książkami stała drewniana głowa Buddy. Na innym regale leżał zardzewiały grot oszczepu ze wschodniej Afryki, w przedpokoju wisiały dwa rysunki ołówkiem, przedstawiały sad w Roßthal. Na oknie stało kilka zdjęć: jego ojca w zielonym kapeluszu, matki stojącej przed leśniczówką. Zauważyła oprawione w srebrną ramkę zdjęcie sześciu młodych mężczyzn, stojących na schodach przed internatem, rozpoznała Caspara i Philippa.

Pili kawę, dopóki się nie rozgrzali. Rozmawiali o życiu Johanny w Londynie, jej przyjaciółkach i domu aukcyjnym, w którym pracuje. W pewnym momencie nachyliła się nad stołem, Leinen przytrzymał jej głowę, a gdy ją pocałował, talerz z chlebem upadł na wyłożoną kafelkami podłogę i rozbił się. Mężczyzna pomyślał o tym, że ona nazajutrz rano pojedzie z powrotem do Londynu, wróci do innego życia, którego on nie zna.

Obudził się około wpół do piątej, w pokoju było jeszcze ciemno. Johanna siedziała naga na podłodze obok drzwi balkonowych, nogi przyciągnęła do siebie, głowę oparła o kolana, płakała. Wstał i kocem przykrył je ramiona.

Następnego ranka zawiózł Johannę na lotnisko. Ludzie witali się i żegnali, nie musieli przejmować się procesami karnymi, które zniszczyły ich dzieciństwo. Johanna pocałowała go, przeszła przez odprawę i zniknęła za matową szybą. Bał się, że ją utraci, tak jak stracił Philippa. Nagle wszystko wokół zwolniło. Ławki, podłoga, ludzie i dźwięki stały się przytłumione i obce, światło nieznane. Jakaś dziewczynka potrąciła go walizką na kółkach, zanim zdążył odskoczyć. Prawie dziesięć minut stał bez ruchu. Widział siebie jakby z boku, stał się kimś obcym, z kim łączyła go niezrozumiała więź. W pewnym momencie udało mu się zapleść dłonie, próbował przypomnieć sobie kształt i wielkość palców, powoli dochodził do siebie. Poszedł do toalety, przemył twarz i spoglądał w lustro tak długo, dopóki całkiem nie wrócił do siebie.

W kiosku na lotnisku kupił wszystkie dzienniki i przeczytał je w stojącym na parkingu w samochodzie. Prasa brukowa opisała proces na pierwszej stronie. W szybę zapukała strażniczka miejska i powiedziała, że

stanął w zabronionym miejscu.

Podczas pierwszych pięciu dni procesu sąd przesłuchiwał świadków i biegłych. Przewodnicząca była dobrze przygotowana. Zadawała rutynowe i szczegółowe pytania, zdawała się bezstronna. Nie było niespodzianek, świadkowie zeznawali to, co zeznali wcześniej przed policją. Prokurator naczelny Reimers nie miał prawie żadnych pytań, co jakiś czas uzupełniał tylko jakąś kwestię.

Mattinger kontrolował przebieg procesu. Jako pierwszy biegły przesłuchany został pracownik Zakładu Medycyny Sądowej. Mattinger pytał profesora Wagenstetta o kąty padania strzałów, rany wlotowe i wylotowe, ślad odcisków na broni, odległości i kopniaki, na podstawie zdjęć kazał mu opisać szczegóły. Leinen widział ławników patrzących z obrzydzeniem na zdjęcia z sekcji, zostaną im w pamięci. Mattinger zadawał pytania językiem zrozumiałym dla wszystkich. Za każdym razem, kiedy Wagenstett używał jakiegoś medycznego wyrażenia, Mattinger żądał objaśnienia, a kiedy ten nie umiał go podać, Mattinger prosił o wytłumaczenie prostymi słowami tego, co chciał powiedzieć. Dwie godziny później każdy w sali miał przed sobą obraz brutalnego człowieka, który zmusił bezbronного starca, żeby klęknął, i strzelił w tył jego głowy. Mattinger ani razu nie podniósł głosu, nie wykonywał teatralnych gestów. Adwokat siedział spokojnie na swoim miejscu i zadawał proste pytania, sprawiał wrażenie opanowanego i zdał się na obrazy, które słuchacze tworzyli sobie w głowach.

Po pięciu dniach reszta procesu wydawała się formalnością. Przewodnicząca wciąż była uprzejma, a protokolantka z końskim ogonem coraz częściej spoglądała na Leinena ze współczuciem. Zainteresowanie prasy słabło, każdego dnia na salę przychodziło coraz mniej dziennikarzy. Gazety uznały, że Collini to chyba zwyczajny szaleniec. Szóstego dnia jedna z dwóch ławniczek rozchorowała się. Przewodnicząca odroczyła rozprawę na dziesięć dni.

Leinen uświadomił sobie, że przegrał sprawę. Co wieczór siedział w kancelarii i wertował akta. Po raz setny czytał zeznania świadków, protokoły sekcji, opinie biegłych i notatki służbowe funkcjonariuszy policji kryminalnej. Na ścianach biura wisiły zdjęcia z miejsca przestępstwa, przypatrywał im się codziennie, ale nic nie znajdował. I tym razem było

podobnie. Około dziesiątej zgasił lampkę na biurku. Przyglądał się dogasającemu w popielniczce papierosowi i czuł zapach przypalającego się filtra. Mattinger powiedział mu, że powinien się zastanowić, odpowiedzi zawsze są w aktach, trzeba je tylko właściwie czytać. Jak bronić mężczyznę, który nie chce się bronić?, myślał Leinen.

Przypomniało mu się, że nie zadzwonił na urodziny do ojca. Spojrzał na zegarek i w półmroku wybrał numer. Głos mężczyzny brzmiał tak jak zwykle, powiedział, że właśnie czyści broń, cały dzień spędził w rewirze łowieckim i pracował przy paśnikach.

Kiedy Leinen odłożył słuchawkę, wydawało mu się, że znów czuje smar do konserwacji broni. Zamknął oczy. Nagle poderwał się z miejsca, włączył światło i popędził do ściany ze zdjęciami z miejsca przestępstwa. Strona dwudziesta szósta, zdjęcie pięćdziesiąte drugie: „Narzędzie popełnienia przestępstwa: Walther P38” napisał na zdjęciu jeden z policjantów. Leinen dokładnie przyjrzał się pistoletowi, wziął z biurka szkło powiększające. Znał tę broń. Potem jeszcze raz wykręcił numer ojca.

Następnego ranka Leinen wsiadł do pociągu z Berlina do Ludwigsburga. Miał ślad, niejasny i słaby, ale mimo to jakiś ślad. Na dworcu w Ludwigsburgu zapytał taksówkarza o adres. Mężczyzna powiedział, że to niedaleko i można pójść pieszo, ale oczywiście go tam zawiezie. W samochodzie pachniało tymiankiem i paczulą, na wstecznym lusterku wisiał łańcuszek z okiem Fatimy. Ciągące się w długich rzędach domy dawnego miasta garnizonowego pomalowane były na żółto i różowo, wszystko wyglądało schludnie i porządnie. Kierowca zapytał Leinena, skąd przyjechał, a potem powiedział, że jego córka studiuje w Berlinie. To też jest świetne miasto, jak Ludwigsburg, tyle że większe. Przejechali obok ratusza oraz zamku i zatrzymali się przed stojącym w głębi budynkiem. Leinen wysiadł i przeszedł przez mały plac. Po lewej stronie znajdował się budynek służący kiedyś jako roгатki. Później mieszkali tam grabarze, a przez kilka lat mieścił się tu ośrodek wychowawczy dla zaniedbanych dzieci. Wysoką budowlę, której wąskie skrzydło zwrócone było w stronę ulicy, miejscowi nazywali kiedyś *domem z bali*. Przez długi czas mieściło się tu więzienie, mury pozostały. Dopiero w roku 2000 wprowadził się tam urząd, którego Leinen szukał.

Leinen musiał kilka razy wykrzyknąć swoje nazwisko do interkomu, urządzenie ciągle przerywało. Automatyczny brzęczyk otworzył zardzewiałą, osadzoną w murze bramę. Leinen przeciął dziedziniec i doszedł do żelaznych drzwi. Były otwarte. Wszystko wyglądało tak jak w urzędach:

podłoga z PCV, świetlówki, tapety typu Raufaza, aluminiowe klamki. Przy wejściu przed stróżówką stały puste skrzynki na butelki, urzędnicy ubrani w niebieskie mundury byli mili i znudzeni. Wszystko wyglądało na zużyte, trochę nędzne, ale nie interesowano się tym, nikt nie chciałby przeprowadzać tu remontu. Uprzejmy, pokraczny mężczyzna przywitał Leinenę, zaprowadził go do czytelnicy na pierwszym piętrze i objaśnił, jak z niej korzystać. Leinen zapowiedział się telefonicznie. Brakowało mu punktu zaczepienia, miał tylko nazwisko i kraj. Wydawało mu się to bezcelowe, ale pracownicy Urzędu Federalnego pośród półtora miliona kartotek znaleźli to, czego szukał. Zamówione dokumenty, czternaście niebiesko-szarych teczek starannie opisanych i ułożonych na stosie, leżało na jasnym stole. Starsza pani siedząca na miejscu obok ledwo co widziała, trzymała kartkę tuż przed oczami i by coś przeczytać, przesuwała ją od prawej do lewej. Wciąż potrząsała głową, od czasu do czasu wzdychała.

Kiedy uprzejmy mężczyzna sobie poszedł, Leinen, zanim usiadł, wziął do ręki pierwszą teczkę. Wahał się, czy ją otworzyć. Z okna widział przystanek autobusowy. Jakiś młody chłopak wygłupiał się ze swoją dziewczyną, śmiali się, szturchali i całowali. W końcu Leinen zdjął marynarkę i powiesił ją na krześle. Potem usiadł i wyjął z teczki plik pozółkłych cienkich kartek.

Wieczorem wynajął pokój w tanim pensjonacie przy dworcu. Nocą przysłuchiwał się przejeżdżającym nieustannie pociągom towarowym, sygnalizacja świetlna przed oknem na zmianę pogrążała pokój w czerwieni, żółci i zieleni. W Ludwigsburgu został pięć dni. Co rano o ósmej pokonywał krótką drogę. Kupił przewodnik i dowiedział się, że historia miasta to historia wojen. Stąd w 1812 roku wyruszyła na rozkaz Napoleona armia wirtemberska, blisko szesnaście tysięcy ludzi, niemal wszyscy zginęli w Rosji. Podczas I wojny światowej poległo stu dwudziestu ośmiu oficerów i cztery tysiące stu sześćdziesięciu żołnierzy regimentu Alt-Wuerttemberg; *Na polu chwały*, głosił wykuty w kamieniu napis na jednym z pomników wojennych. Ponieważ żył tu Joseph Süß Oppenheimer, w 1940 roku nakręcono w tym mieście film *Żyd Süß*.

Leinen siedział w czytelnicy, z każdym dniem stos teczek przy jego stoliku stawał się coraz wyższy, zapiski zapełniały stronę za stroną, notatnik za notatnikiem. Zamówił tyle kopii, że pracownicy zaczęli narzekać. Leinen zawsze pracował do wieczora, nie chciał robić sobie przerw, jego oczy stawały się czerwone. Z początku akta wydawały mu się niezrozumiałe, mało pojmował z tego, co czytał. Jednak stopniowo wszystko się zmieniło. W wielkim, chłodnym pomieszczeniu papier ożywał, wszystko zaczynało się

wyjaśniać. Nocami Leinen śnił o przeczytanych aktach. Do powrotu do Berlina schudł dwa kilogramy. Wniósł do swojej kancelarii kartony pełne kserokopii, poszedł do mieszkania, zaciągnął zasłony i cały weekend spędził w łóżku, czytając. W poniedziałek odwiedził Colliniego w areszcie śledczym. A kiedy siedem godzin później opuszczał więzienie, wiedział już, co musi zrobić.

Na dzień przed wznowieniem procesu Mattinger świętował sześćdziesiąte piąte urodziny. Leinen przyszedł późno, do ostatniej chwili przygotowywał się w kancelarii do następnej rozprawy. Swoją stary samochód musiał zaparkować daleko. Aż do bramy posesji Mattingera szedł wzdłuż długiego rzędu drogich aut, pokazał zaproszenie ochroniarzowi i znalazł się na dziedzińcu.

Mattinger zaprosił ponad ośmiuset gości. Na trawniku od strony jeziora rozstawiony był wielki namiot, zespół grał jazz, niezliczone latarenki z kolorowego szkła stały na obu tarasach, trawniku i pomoście. Mattinger wynajął wielką łódź, która od czasu do czasu przybijała do brzegu, żeby przewieźć gości po jeziorze.

Leinen rozpoznał kilku aktorów, prezenterkę telewizyjną, piłkarza, znanego fryzjera i przewodniczącego zarządu jednego z banków, dwa dni wcześniej zwolnionego z aresztu śledczego. Wziął z bufetu coś do jedzenia, praktycznie od dwóch dni nic nie jadł. Zespół grał dobrze, Leinen miał płytę tej piosenkarki. Długo się przysłuchiwał. Kiedy muzyka na chwilę ucichła, zaczął szukać Mattingera, ale nie znalazł go i poszedł na przystań. Szerokie wiklinowe ławki z białymi poduszkami stały na pomoście, latarenki ledwie wydobywały ich zarysy. Był sam. Nad Wannsee unosiła się mgła. Było chłodno jak na tę porę roku. Kilka łódek kołysało się na wodzie. Stojący na wysokim brzegu dom Mattingera był jasno oświetlony, odbijał się w jeziorze. Leinen postawił kołnierzyk smokingu. Z kieszeni wyjął srebrną papierośnicę ojca i zapalił. Woda uderzała o drewniane pale.

– Dobry wieczór, panie Leinen. Mattinger powiedział, że jeśli pan przyszedł, to prawdopodobnie jest tutaj. Najwyraźniej zna pana już dość dobrze.

Leinen, nie wstając, odwrócił głowę. To był Baumann, prawnik wewnętrzny przedsiębiorstwa Meyera. W ręku trzymał kieliszek, miał na sobie frakową koszulę ze stójką. Jego twarz nawet w ciemności była czerwona. Leinen wstał i podał mu rękę. Baumann usiadł na ławce obok.

– Mattinger ma ładny dom – powiedział Baumann. – Ciekawy jestem pokazu fajerwerków nad jeziorem.

– Pewnie będzie zbyt mgliście, żeby było dobrze widać – odparł Leinen.

– Tak, być może. Jak idzie proces?

– Dziękuję, w porządku – powiedział Leinen. Nie chciał o tym rozmawiać. Znów spojrzał na jezioro pogrążone w mroku.

– Chciałbym złożyć panu pewną propozycję – powiedział Baumann.

– Propozycję?

– Wygląda to tak, że jest mi obojętne, jaki wyrok dostanie pański klient. Powiedziałbym: zupełnie obojętne. – Baumann założył nogę na nogę.

– To z pewnością słuszne. – Leinen poczuł, że nie podoba mu się ta rozmowa.

– Powiem całkiem otwarcie, panie Leinen: wiemy, że był pan w Ludwigsburgu.

Leinen popatrzył na Baumanna.

– Proszę zrzec się pełnomocnictwa. Tak będzie dla pana najlepiej – powiedział Baumann. Leinen milczał. Czekał.

– Wie pan, ja też byłem kiedyś adwokatem. Wiem, jak ciężko trzeba pracować, jakim trzeba być ambitnym. W takim procesie stawia się wszystko na jedną kartę, wydaje się, że to najważniejsza sprawa. Byłoby mi to obojętne, gdyby był pan byle początkującym adwokatem. Ale w pewnym sensie należy pan do rodziny Meyerów, ma przed sobą przyszłość i...

– I?

– ...może pan bez większych przeszkód zrezygnować z prowadzenia sprawy. Przedsiębiorstwo Meyerów opłaci obrońcę, mamy już kogoś, kto by się tego podjął. Wtedy automatycznie zostałby pan zwolniony z obowiązku obrony i pełnomocnictwa w tym procesie. – Głos Baumanna nie zmienił się, wciąż brzmiał przyjaźnie. Wielka łódź podpłynęła na tyle blisko, że przez mgłę słychać było ludzi. Jakaś kobieta krzyczała wysokim głosem, potem roześmiała się. Lampy łodzi oświetlały przystań, odbijały się w okularach Baumanna.

Baumann nachylił się i położył rękę na ramieniu Leinena. Zwrócił się do niego prawie jak do dziecka:

– Czy pan nie rozumie, panie Leinen? Lubię pana, dopiero pan zaczyna, ma pan przed sobą karierę. Proszę tego wszystkiego nie schrzanić.

– Panie Baumann, proszę wrócić na przyjęcie i dobrze się bawić. To nie jest odpowiednia chwila.

Baumann mówił zduszonym głosem, wydawało się, że przychodzi mu to z wielkim trudem:

– Niech pan posłucha. Nie wiemy, do czego pan się dokopał w Ludwigsburgu... Nie chcemy tego nawet wiedzieć. Ale liczymy, że proces szybko się skończy. Każdy kolejny dzień rozgłosu szkodzi firmie.

– Nie mam na to wpływu.

– Przeciwnie, ma pan. – Baumann głośno oddychał. – Proszę nie składać żadnych wniosków. Niech postępowanie po prostu się skończy. Bez echa, rozumie pan?

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Porozmawialibyśmy z sądem i wyjaśnili, że zgadzamy się na łagodną karę.

– Nie wydaje mi się, żeby to w ogóle wchodziło w grę.

– Ponadto za ustępstwo w sprawie pańskiego klienta zapłacilibyśmy rekompensatę.

– Co by państwo zrobili...?

– Zapłacilibyśmy. Wysoką sumę, żeby proces się zakończył.

Chwilę potrwało, zanim to do Leinena dotarło. Zaschło mu w gardle. Postanowili kupić przeszłość człowieka.

– Chcą państwo zapłacić rekompensatę, żebym zrezygnował z należytej obrony Colliniego? Czy mówi pan to poważnie?

– To propozycja zarządu – powiedział Baumann.

– Czy Johanna Meyer o tym wie?

– Nie, to sprawa między firmą a panem.

Leinen pomyślał, że to oznacza, że się boją. On zrobił wszystko jak należy. Ale ta świadomość go nie zadowalała.

– Niech się pan nie zastanawia... – Mały reflektor z łodzi krótko oświetlił czerwoną twarz Baumanna. – ...proszę spojrzeć prawdzie w oczy: ma pan biuro w oficynie, piętnastoletni samochód, używa się pan z drobnymi oszustami i zajmuje bójkami w knajpach. Jeden z zaprzyjaźnionych banków ma właśnie w Düsseldorfie problem, to może być największy powojenny proces przeciw osobie posługującej się informacjami niejawnymi. Jeśli pan chce, może reprezentować jednego z oskarżonych. Dobrze by pan zarobił, dzienna stawka wynosi dwa i pół tysiąca euro plus koszty dodatkowe. Rozprawa główna będzie toczyć się rok, co najmniej sto dni. Pomożemy panu, jeśli będzie pan chciał. Możemy też zaproponować panu innych klientów. Niech się pan zastanowi, panie Leinen. To, co pan teraz robi, zadecyduje o reszcie pańskiego życia...

Baumann mówił dalej, ale Leinen już go nie słuchał. Mgła stawała się coraz gęstsza, zerwał się wiatr. Leinen usłyszał krzyk lecącej nad nim kaczki krzyżówki, nie widział jej. Przerwał Baumannowi.

– Nie przyjmę pańskiej oferty.

– Co? – Baumann nie udawał, był naprawdę zaskoczony.

– Nic pan nie zrozumiał – powiedział Leinen cicho, i wstał. – Do zobaczenia. Zszedł z pomostu i skierował się w stronę namiotu. Słyszał, jak

Baumann za nim woła. Wielka łódź zawracała na jeziorze, lampy oświetlały brzeg. Kilkoro gości w wieczorowych strojach stało przed namiotem i wznosiło toast za ludzi na łodzi. Zapachniało olejem napędowym i zgnilizną.

Leinen minął namiot i po schodach wszedł do domu. Mattinger stał w jasno oświetlonym pokoju, ramieniem obejmował swoją przyjaciółkę. Wskazywała na coś w kierunku jeziora, mężczyzna spoglądał w inną stronę. Leinen zastanawiał się, czy się pożegnać, ale było tam zbyt wiele osób. Poszedł do samochodu. Kiedy go otworzył, odpalono fajerwerki. Usiadł na masce, zapalił papierosa i jakiś czas się im przyglądał.

Kiedy wrócił do domu, w jego mieszkaniu panowała duchota. Otworzył okna, rozebrał się i położył na łóżku. „Adwokat broni, nie zajmuje się niczym poza tym”, powiedział Mattinger. To zdanie miało mu pomóc, ale nie pomagało. Potem myślał o Johannie i o tym, że proces przeciw Fabrizio Colliniemu tak naprawdę rozpocznie się dopiero nazajutrz.

To był siódmy dzień procesu. Przewodnicząca otworzyła posiedzenie, poleciła zaprotokołować, że wszyscy są obecni, i powiedziała, że cieszy się, iż ławniczka już wyzdrowiała.

– Mam następującą informację do wszystkich zgromadzonych – powiedziała. – Wczoraj obrońca poinformował mnie, że jego klient złoży wyjaśnienia, a ponieważ nie przewidziano na dziś nic więcej, chętnie bym ich wysłuchała. – Zwróciła się do Leinena: – Czy tak, panie Leinen?

– Tak, pani przewodnicząca. – Dobrze, panie obrońco, proszę więc zaczynać. – Przewodnicząca oparła się na fotelu. Leinen wziął łyk wody. Spojrzał na Johannę. Dzień wcześniej przez telefon powiedział jej, że to będzie okropny dzień, ale nie ma innego wyjścia. Leinen spokojnie stał przy mównicy, na swoim miejscu. Zaczął czytać, powoli, łagodnym głosem, mówił prawie bez emocji. Wszyscy na sali wyczuwali koncentrację młodego adwokata podczas jego pierwszego ważnego procesu. Na sali, oprócz jego głosu, słychać było jedynie szelest przewracanych kartek. Leinen rzadko podnosił wzrok, kiedy to robił, spoglądał na sędziów, na każdego z osobna. Relacjonował fakty, używając rzeczowego, prawniczego języka, powiedział tylko to, czego dowiedział się od Colliniego i co znalazł w aktach w Ludwigsburgu. Lecz kiedy czytał wyjaśnienie, gdy zdanie po zdaniu opisywał okrucieństwo, nastroje na sali zmieniły się. Ukazywali się ludzie, krajobrazy i miasta, zdania stawały się obrazami, ożywały, a dużo później ktoś z publiczności powiedział, że czuł zapach pól i łąk z czasów dzieciństwa Colliniego. Jednak Caspar Leinen zrozumiał coś jeszcze. Latami słuchał swoich wykładowców, uczył się prawa i jego interpretacji, próbował zrozumieć proces karny, ale dopiero wówczas, kiedy sam składał wniosek, zrozumiał, że tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego, o udręczonego człowieka.

—

Ite, missa est, idźcie w pokoju. – Głos księdza był zachrypnięty i przyjazny.

– *Deo gratias*, Bogu niech będą dzięki – odpowiedziało chórem jedenaścioro dzieci. Przez chwilę stali spokojnie, nie mieli odwagi ruszyć się

z miejsca. Dwie godziny przygotowań do pierwszej komunii w niedzielę po mszy były oczywiście męczarnią. Stary umiał wprowadzić dobrze opowiadać, niektóre historie były nawet zajmujące, ale był srogi i Fabrizio już kilka razy dostał różgą. W końcu stary otworzył drzwi, roześmiał się i powiedział:

– No dalej, nie ma was. – Dzieci popędziły szkolnym korytarzem i wybiegły na zewnątrz, w zimny listopadowy dzień. Fabrizio wsiadł na rower.

– Do jutra – krzyknął do reszty i odjechał. Miał przed sobą siedemnaście kilometrów drogi do gospodarstwa swoich rodziców. Kiedy wróci do domu, od razu zdejmie ten kretyński garnitur i założy swoje sfatygowane ubranie, może znajdzie jeszcze czas, żeby pojechać do starego młyna i spotkać się z resztą.

Tego dnia, 14 listopada 1943 roku, Fabrizio Collini skończył dziewięć lat. W gospodarstwie rodziców dowodził krową, czterema świniami, jedenastoma kurami i dwoma kotami, był najważniejszym ze wszystkich dowódców, mistrzem wyścigów kolarskich i artystą cyrkowym. Widział już wrak samolotu, który runął na ziemię, i dwóch martwych żołnierzy, posiadał lornetkę, rower i scyzoryk z trzonkiem z rogu jelenia. Poza tym miał jeszcze starszą o sześć lat siostrę, której przeważnie nie znosił. A teraz był przede wszystkim głodny.

Fabrizio pojechał skrótem polną drogą. Pomiędzy wioską Corria a małym gospodarstwem jego ojca znajdował się pagórek, cel sobotnio-niedzielnych wycieczek zakochanych par. Stamtąd rozciągał się ładny widok na okolicę, zawsze było tam spokojnie. Cztery miesiące wcześniej na Sycylii wylądowali alianci, obalono i aresztowano Benito Mussoliniego. Król polecił marszałkowi Pietro Badoglioowi stworzenie rządu wojskowego i krótko po tym między aliantami a nowym włoskim rządem ogłoszono zawieszenie broni. 12 września 1943 roku, na rozkaz Adolfa Hitlera, z hotelu w górach niemieccy strzelcy spadochronowi uwolnili Mussoliniego, dwa tygodnie później powołano go na szefa faszystowskiego rządu nowo utworzonej Włoskiej Republiki Socjalnej, Repubblica Sociale Italiana, zależnej od III Rzeszy. Fabrizio niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Wiedział oczywiście, że trwa wojna, obydwaj bracia jego ojca polegli trzy lata wcześniej podczas ataku Włoch na Grecję, ledwo ich pamiętał. Wtedy jego ojciec płakał. Mówił, że wojna to szaleństwo. Fabrizio zapamiętał to słowo, *Follia*, „szaleństwo”, nie wiedział, co oznacza, ale ojciec wciąż je powtarzał i Fabrizio czuł, że to coś strasznego. Niemcy w mundurach byli wtedy wszędzie. Co jakiś czas do wioski przyjeżdżali krewni z Genui, opowiadali, że Niemcy wywożą z fabryk wszystko to, co im potrzeba.

Twarze mężczyzn stały się posępne, szeptano o partyzantach i zamachach, i mimo że wszystko próbowano ukryć przed dziećmi, te nie bawiły się już w złodzieja i policjanta, tylko w partyzanta i Niemca. W niektóre wieczory ojciec zakładał szary płaszcz i baskijkę, całował w czoło dwojkę swoich dzieci i opuszczał gospodarstwo. Fabrizio słyszał w te noce, jak jego siostra płacze, a kiedy ją wołał, przychodziła do jego pokoju i mówiła, że tata jest partyzantem. Matka zmarła przy porodzie syna.

Kiedy Fabrizio dotarł na pagórek, postął tam przez chwilę, jak zwykle. Widział gospodarstwo ojca, dom i małą stodołę. Popędził w dół. Dotarł na skraj wybrukowanego podwórza, jego siostra stała w drzwiach wejściowych. Miała na sobie jeszcze czarną sukienkę, w której była w kościele, i płakała. Fabrizio zeskoczył z roweru, który upadł na ziemię. Podbiegł do niej. Siostra przycisnęła go mocno do siebie i wciąż powtarzała: „Zabrali ojca. Niemcy zabrali ojca”.

Fabrizio też się rozplakał. Dzieci długo tak stały, Fabrizio chciał się dowiedzieć więcej, ale siostra nic nie mówiła.

Po pewnym czasie puścili się i poszli do kuchni, siostra odruchowo stanęła przy piecu, wbiła na patelnię dwa jajka i pokroiła chleb. Fabrizio zjadł, ona nie tknęła swojej porcji.

– Kiedy skończysz, pójdziemy do wuja Mauro. On z pewnością będzie wiedział, co robić – powiedziała.

Mauro był starszym bratem ich matki; twardy, bezdzielny mężczyzna, jedyny ich krewny. Jego gospodarstwo było oddalone o prawie dziesięć kilometrów. Siostra pogłaskała Fabrizia po głowie i wyjrzała przez okno. Nagle zerwała się z miejsca i krzyknęła:

– Uciekaj, Fabrizio, oni wracają! – Fabrizio usłyszał warkot silnika, przez okno zobaczył niemiecki samochód wojskowy, wóz terenowy z opuszczoną przednią szybą i kołem zapasowym na masce. W aucie siedział tylko jeden żołnierz.

– Biegnij, uciekaj, biegnij wreszcie! – krzyczała siostra.

Fabrizia przeraził jej strach. Pobiegł przez podwórko i schował się w dużej psiej budzie, która stała pusta już kilka lat. Zawinął się w brudny koc, gryzący i pełen dziur. Przez szparę w deskach zobaczył koła samochodu, oficerki, stały przez chwilę, odwróciły się i poszły w kierunku domu. Potem usłyszał krzyk siostry. Nie mógł zrobić inaczej. Wyczołgał się z budy, podbiegł do otwartych drzwi wejściowych i mocnym pchnięciem otworzył drzwi do kuchni.

Jego siostra leżała na plecach na szerokim stole kuchennym, z głową zwróconą w stronę drzwi. Jej sukienka była rozdarta, biały podkoszulek

wystawał spod materiału o grubym splocie. Mężczyzna stał pomiędzy jej nogami, spodnie miał opuszczone, koszulę i mundur zapięte. Fabrizio znał odznaki, to był zwykły żołnierz. Na jego czole znajdowała się wielka blizna z widocznymi szwami. Przyłożył pistolet do klatki piersiowej dziewczyny, kurek był odwiedziony, palec trzymał na spuście. Z rany na czole dziewczyny płynęła krew, do rękojeści pistoletu przyklejone były włosy. Mężczyzna miał czerwoną twarz, sapał i pocił się.

Fabrizio krzychał. Krzychał głośno, jego krzyk był głośniejszy niż jakikolwiek inny dźwięk w gospodarstwie, pojedynczy, wysoki ton, a kiedy krzychał, wszystko działo się równocześnie. Żołnierz przestraszył się i cofnął. Dziewczyna miała na szyi złoty łańcuszek i emaliowany medalik z wizerunkiem Maryi, dostała go w prezencie od matki. Muszka pistoletu zaczepiła się, łańcuszek zacisnął się wokół szyi i zablokował broń. Mężczyzna szarpnął pistolet do siebie, nacisnął spust. Padł strzał. Kula przebiła szyję dziewczyny, rozerwała tętnicę i utkwiała w stole kuchennym. Siostra Fabrizioa złapała się za szyję. Spomiędzy jej dłoni płynęła krew. Żołnierz potknął się, zachwiał i upadł na podłogę. Fabrizio wciąż krzychał. Nie potrafił tego wszystkiego pojąć: bladoniebieski dym podczas strzału, penis w stanie erekcji, krew na stole kuchennym. Wszystko stało w miejscu, świat zastygł. Potem chłopiec zauważył brązową puszkę na tytoń należącą do ojca. Stała jak zwykle na półce w kuchni. Co wieczór po kolacji ojciec skręcał dwa papierosy, a kiedy je palił, rozmawiał z dziećmi. Fabrizio dostrzegł dwóch znajomych Indian na drewnianym lakierowanym wieczku, siedzieli przy ognisku, spokojnie, jak zawsze. Przestał krzychać. Żołnierz siedział na podłodze, pistolet leżał na jego kolanach. Wbił wzrok w Fabrizioa. Oczy mężczyzny były niczym woda, jasnoniebieskie, prawie bezbarwne. Fabrizio jeszcze nigdy takich oczu nie widział, nie mógł oderwać od nich wzroku. Stał więc i patrzył w oczy mężczyzny. Dopiero kiedy ten drgnął, chłopiec mógł się poruszyć, i w końcu zrozumiał, że musi uciekać, żeby ocalić życie.

Fabrizio wypadł z kuchni, przebiegł przez podwórze, poślizgnął się na mokrych kamieniach i rozbił sobie prawe kolano. Ojciec zbeształby go za podarcie odświętnych spodni. Z jednej strony mijając budę dla psa, a z drugiej staw, wbiegł do piniowego zagajnika, potem pokonał wąski most i dalej leśną drogą dotarł na otwartą przestrzeń. Nie wiedział, jak długo biegł, mógłby biec tak w nieskończoność, ale nagle dostrzegł gospodarstwo wuja. Dom wyglądał zupełnie inaczej niż ten jego ojca, był duży i ciągnął się wzdłuż wzniesienia, prowadziła do niego aleja pinii. Drzwi domu były otwarte. Fabrizio, biegnąc niemal, przewrócił na progu ciotkę Giulię. Jakaś

się z braku tchu, dopiero kiedy przyszedł wujek i dwóch parobków, zaczął mówić spokojniej, wtedy mężczyzna zrozumiał, co się stało. Wyjął z szafy śrutówkę i pojechał gdzieś wozem.

Wuj wrócił nocą. Usiadł na schodkach przed drzwiami i wpatrywał się przed siebie w ciemność, zrobiło się zimno. Fabrizio podszedł do niego. Wuj rozpiął ogromny kozuch z owczej skóry, Fabrizio usiadł na pole przy nim. Mężczyzna objął go ramieniem, pachniał dymem, jego twarz i dłonie pokryte były sadzą. W żółtym świetle padającym z okna kuchennego Fabrizio dostrzegł mokre ślady na czarnych policzkach wuja.

– Fabrizio, mój chłopcze.

– Tak, wuju – powiedział.

– Wasze gospodarstwo spłonęło, twoja siostra nie żyje.

– Ona też spłonęła?

– Tak.

– Cała?

– Tak, cała.

– Widziałaś ją?

Wuj Mauro skinął głową.

– A zwierzęta, czy one też spłonęły?

– Krowa tak. Reszta nie wiem – odparł wuj. – Może są teraz w lesie.

Fabrizio rozmyślał o zwierzętach w lesie. Na pewno marzną i są głodne. Szczególnie świnie, one to zawsze są głodne.

– Mogą się zaprzyjaźnić z dzikami – powiedział Fabrizio. Przyglądał się szorstkiej ręce wuja, znajdującej się przy swojej twarzy. Była inna niż ręka jego ojca, większa, bardziej owłosiona, ciemniejsza. I pachniała inaczej.

– Czy twoja siostra powiedziała ci, że żołnierze zabrali ojca?

– Tak, powiedziała, że to byli Niemcy.

– Powiedziała dokąd?

– Nie – odparł Fabrizio.

– Jutro rano pojedę do Genui – powiedział wuj.

– Ale dlaczego oni go zabrali? Czy zrobił coś złego?

– Nie – odrzekł wuj. – Zrobił to, co trzeba. – Fabrizio czuł, jak mięśnie jego wuja się napinają.

– Zabierzesz go stamtąd? – zapytał po chwili.

– Zobaczymy, co powiedzą. – Przytulił Fabrizia mocniej do siebie. – Będziesz teraz mieszkał z nami.

– A szkoła? Muszę jutro do niej pójść?

– Nie – powiedział wuj. – Jutro nie.

– Czy zwierzęta też idą do nieba?

– Nie wiem, chłopcze. Zwierzęta nie są dobre albo złe.

Siedzieli przez chwilę, wuj naciągnął kozuch na głowę Fabrizia, owcza skóra była ciepła, ale drapała go w szyję.

Następnego dnia wuj Mauro pojechał do Genui. Włożył najlepszy garnitur, ciotka Giulia zapakowała dla krewnych cztery wytłaczanki jaj. Fabrizio i jego ciotka stali na schodkach i machali mu, kiedy odjeżdżał. W ciągu następnych dni gospodarstwem zajmował się starszy z parobków, młodszy poszedł na posterunek lokalnej policji i złożył zawiadomienie. Nazajutrz kury wróciły do spalonych murów, jedną ze świń parobek znalazł w lesie. Stary ksiądz odwiedził Fabrizia, przyniósł czekoladę i podarował mu różaniec ze srebrnym krzyżykiem.

Mauro spędził w mieście cztery dni. Kiedy wrócił, wyglądał na zmęczonego, buty go uwierały, garnitur był poplamiony i krzywo układał się na ramionach. Wszyscy siedzieli wokół stołu, kiedy wyglądał kartkę. Powiedział, że nie pozwolono mu zobaczyć ojca Fabrizia, ale już wie, gdzie jest. Kartka wyglądała jak pismo urzędowe, cienki papier, dwie pieczętki, jedna na górze po lewej stronie, druga na dole po prawej, swastyki. „Służba Bezpieczeństwa”, brzmiał napis. Wuj Mauro powiedział, że partyzanci to dla SS szczególnie więźniowie. Przeczytał nazwisko ojca, powoli, przesuwając palcem po literach. Z każdym kolejnym usłyszanym zdaniem wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego i starali się zrozumieć, o co chodzi. Podana była jeszcze nazwa więzienia, znajdowało się w Genui w dzielnicy Marassi. Obydwaj parobkowie skinęli do siebie porozumiewawczo i schowali głowy w ramionach. Na koniec wuj przeczytał, że do aresztowania ojca Fabrizio doszło z rozkazu Außenkommando Służby Bezpieczeństwa w Mediolanie. Przeczytał nazwisko mężczyzny, któremu więźniowie teraz podlegali, był Niemcem, wuj Mauro starał się poprawnie wymówić nazwisko. Na kartce napisane było: „SS-Sturmbannführer Hans Meyer”.

SS-Sturmbannführer Hans Meyer – powiedział Leinen. Kilka osób, które znajdowały się na sali numer pięćset, westchnęło ciężko, na ławce dla prasy zrobiło się niespokojnie, paru dziennikarzy wstało, żeby zadzwonić do redakcji.

– Hans Meyer – ciszej powtórzył Leinen, jak gdyby mówił do siebie. Zwrócił się do przewodniczącej: – Pani przewodnicząca, jeśli to pani odpowiada, dokończyłbym składanie wyjaśnień w następnym dniu rozprawy. Mój klient jest wykończony... a i ja jestem, szczerze mówiąc, trochę zmęczony.

Leinen wiedział, że przewodnicząca składu sędziowskiego była wciekła. Przygotowania do procesu trwały miesiącami, a zakończenie postępowania w ciągu pozostałych trzech dni będzie teraz niemożliwe. Obrona miała oczywiście prawo tak postąpić, Leinen był zadowolony, że przewodnicząca nie dała nic po sobie poznać. Nie chciała nastawiać ławników wrogo do oskarżonego.

– Dobrze, panie obrońco, zresztą jest już pora obiadowa. Możemy się dowiedzieć, jak długo jeszcze potrwa składanie wyjaśnień?

Leinen oczywiście usłyszał głosy niezadowolenia, były mu one obojętne.

– Będę z pewnością potrzebował jeszcze jednego albo dwu posiedzeń – powiedział. Wiedział, że jego kolejne zdanie znajdzie się jutro w gazetach. Czuł niemal, jak zmieniają się emocje na sali; Fabrizio Collini nie był już zwyrodniałym mordercą, który bez powodu zastrzelił jednego z najważniejszych przedsiębiorców. – Będzie jeszcze kilka niespodzianek, pani przewodnicząca. Wszystko jest gotowe.

Na sali znów zrobiło się głośno.

– A więc kończymy na dzisiaj. Ciąg dalszy rozprawy w tej sali, w najbliższy czwartek o godzinie dziewiętej. Strony postępowania zostały wezwane. Do widzenia. – Sędziowie i ławnicy wstali i przez drzwi za ławą sędziowską opuścili salę. Prokurator naczelny Reimers trochę za głośno odsunął krzesło i poszedł do wyjścia, z nikim się nie pożegnał. Strażnicy otworzyli drzwi dla publiczności i wyprosilili wszystkich. Prawie dziesięć minut trwało, aż ostatnia osoba opuściła salę.

Johanna wciąż siedziała w odrętwieniu naprzeciw ławki oskarżycieli posiłkowych. Była blada, jej usta straciły barwę. Spojrzała na Leinena, jakby

widziała go po raz pierwszy. Wstał i podszedł do niej.

– Proszę, zabierz mnie stąd – wyszeptała, chociaż i tak nikt inny by jej nie usłyszał.

Przed salą czekała prasa. Strażnik pomógł im, wypuścił ich bocznymi drzwiami, reporterzy nie mogli pójść za nimi. Leinen nie chciał wychodzić głównym wyjściem, długimi korytarzami wyprowadził Johannę na parking. Stary mercedes nie od razu zapalił.

– Dokąd chcesz jechać? – zapytał.

– Wszystko jedno, byle daleko stąd.

Jechał przez miasto nad Schlachtensee. Siedziała obok niego i płakała, a on nie mógł nic zrobić. Zaparkował przy jednej z polnych dróg, poszli kawałek przez las.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytała.

– Chciałem cię chronić. Musiałabyś powiedzieć o tym Mattingerowi.

Zatrzymała się i chwyciła go za rękę.

– Myślisz, że to wszystko prawda?

Odczekał chwilę.

– Idziemy nad jezioro? – zapytał. Zastanowił się. – Tak, to prawda – odparł w końcu. Chętnie powiedziała by coś zupełnie innego.

– Dlaczego wszystko zniszczyłeś? – zapytała. – Masz okropny zawód.

Nic nie odpowiedział. Myślał o Hansie Meyerze. Niemal czuł, jak starszy mężczyzna głaszcze go po głowie. Jako dzieci on i Philipp chodzili z nim na ryby, piekli pstrągi nad ogniskiem i jedli je tylko z solą i masłem. Chłopcy leżeli na trawie, Meyer z podwiniętymi nogawkami i w kaloszach siedział na pieńku. Pamiętał głęboką zieleń drzew i jeszcze ciemniejszą zieleń strumienia, w którym łowili ryby. Cygara, które palił starszy mężczyzna, ciepły dym i skwar, to wszystko było już nieprawdą. I to się nie zmieni.

Leinen zszedł nad brzeg. Puścił kaczkę, kamień trzy razy uderzył o taflę, potem zniknął w wodzie.

– Twój dziadek mnie tego nauczył – powiedział i rzucił kolejny kamień. Kiedy się odwrócił, Johannę już nie było.

Następnego dnia rozprawy miejsca dla prasy i publiczności były zajęte co do ostatniego. Przewodnicząca krótko powitała uczestników procesu. Następnie skinęła w kierunku Leinena i powiedziała:

– Proszę.

Leinen wstał. Od tygodnia całe dni spędzał w więzieniu, a noce przy biurku. Cieszył się, że to się już wreszcie skończy, dłużej już tak nie mógł. W drodze do sądu zasnął w taksówce, kierowca musiał go budzić. Leinen położył tekst na mównicy. Kiedy zaczął czytać, wiedział, że niszczy swoje dzieciństwo i że Johanna już nie wróci. I że wszystko to nie ma już znaczenia.

Szesnastego maja 1944 roku o godzinie dwudziestej drugiej osiemnaście wszystkie czternaście stolików w Café Trento przy wąskiej Via di Ravecca w Genui było zajętych. Jak co wieczór w kawiarni byli tylko niemieccy żołnierze, prawie wyłącznie marynarze. Mężczyźni mieli porozpinane mundury, grali w karty, niektórzy z nich byli już pijani. Mężczyzna, który oparł torbę o bar, miał na sobie mundur ze stopniem starszego szeregowego, nie rozmawiał z nikim, zamówił małe piwo i wypił je, stojąc. Nogą wsunął torbę pod bar do połowy, nie była ciężka, ważyła niecały kilogram. Przed wejściem obcęgami rozgniół ampułkę umieszczoną na końcu mosiężnej obudowy zapalnika. Kiedy pił piwo, znajdujący się w zapalniku roztwór chlorku miedzi zaczynał powoli trawić żelazo. Został co najmniej kwadrans. Ciągłe powtarzali mu, jak działa angielski zapalnik; jak tylko żelazny drut zostanie strawiony, iglica uderzy w spłonkę i tak wytworzy się iskra. Nie mogli używać niemieckich zapalników, miały za długi zapłon i zbyt głośno syczały. Mężczyzna odstawił na bar pusty kufel, obok położył pieniądze i zniknął. Osiemnaście minut później ładunek eksplodował z prędkością ośmiu tysięcy siedmuset pięćdziesięciu metrów na sekundę, znacznie szybciej niż trotyl. Fala uderzeniowa zmiążdżyła ciało żołnierza, który stał właśnie obok torby, a innemu rozerwała płuca, obydwaj zginęli na miejscu. W powietrze wyleciały stoły i krzesła, butelki, szklanki i popielniczki popękały. Jednemu podoficerowi wbiła się drzazga w lewe oko, czternastu innych żołnierzy zostało rannych, w twarzach, rękach i klatkach piersiowych mieli odłamki szkła. Szyby w kawiarni pękły, drzwi zostały wyrwane

z zawiasów i upadły na bruk.

Tłumacz obudził się o drugiej nad ranem. Bolały go plecy, bo znów spał na kanapie, nie chciał tak wcześnie budzić żony i dzieci śpiących w ciasnym mieszkaniu. Tak było już od tygodni, odkąd nowy Niemiec objął dowodzenie oddziałem nazistów w Genui i kierował nim jak przedsiębiorstwem. Nowy nazywał się Hans Meyer. Miał ukrócić strajki w rejonie, a przedsiębiorstwa służyły produkcji wojennej.

Tłumacz leżał jeszcze chwilę. Często myślał o tym, że wolałby zostać w rodzinnej wiosce w górach, nad miastem Meran, gdzie latem, czternaście lat temu, w gospodzie rodziców poznał swoją żonę. Pachniała świeżymi truskawkami, była dużo elegantsza niż dziewczęta z jego wioski, nawet będąc tam na górze, nosiła buty na wysokich obcasach. Jej rodzice zgodzili się na zaręczyny, pojechał za nią do Genui i przez długi czas wszystko się układało. Kiedy zaczęła się wojna, ojciec zachorował, musieli wszystko sprzedać, żeby zapłacić za lekarzy. Handlował na czarnym rynku żywnością, papierosami, czasem jakąś biżuterią. Mógłby żyć tak dalej, wojna musiała się przecież kiedyś skończyć.

Potem przydarzyło się nieszczęście. Niemcy szukali w porcie bandytów, jak nazywali partyzantów. Nie był jednym z nich, sprzedawał tylko swoje towary, ale uciekał razem z innymi i schował się w jakimś magazynie. Przy wejściu leżała jedna z partyzantek, po prostu się po niej wspiał. Mocno krwawiła, ziemia wokół niej była już czarna. Czekał w kryjówce i słyszał jęki kobiety. Po pewnym czasie umilkła. Podeszedł i spojrzął na nią. Wtedy poczuł na plecach lufę karabinu.

Niemcy zabrali jego torby z żywnością oraz papierosami i zaprowadzili na teren garnizonu. Kiedy się dowiedzieli, że pochodzi z południowego Tyrolu i mówi po niemiecku, powiedzieli, że albo będzie ich tłumaczem, albo pójdzie do więzienia.

Tłumacz wstał, wziął z krzesła swoje rzeczy i ubrał się. Pół godziny później opuścił mieszkanie. Wziął rower, żeby dojechać do dzielnicy Marassi. Komendant oddziału V, czyli policji kryminalnej, powiedział mu, że najpóźniej kwadrans przed trzecią ma być w więzieniu. Nie powiedzieli mu, co planują. Nie musieli zresztą, wiedział to od dawna. Już wcześniej dochodziło do zamachów na niemieckich żołnierzy, ale nie mieli zamiaru puścić płazem zamachu w Café Trento. Powiedzieli, że będą stosować *radikalne środki*. Niemcy wciąż powtarzali takie słowa jak „radikalne”.

W więzieniu Marassi dostał listę. Była trzecia nad ranem. Przez korytarz

musiał wywoływać odpowiadające nazwiskom numery. Same numery, bez nazwisk, było ich na liście dwadzieścia. Żaden z tych ludzi nie miał z zamachem nic wspólnego. Więźniowie stanęli przed celami, unosił się zapach snu. Niemiec z oddziału V jąkał się, gdy mówił cicho. Jednak przestawał się zacinać, kiedy mówił głośno. Tłumacz musiał przekładać. Mężczyźni mieli się ubrać, zostaną przeniesieni, rzeczy mają pozostawić, będą dostane. To było kłamstwo, nikt przecież nigdzie nie wysyłał rzeczy więźniów. Osadzeni wiedzieli od razu, że tego dnia zginą. Na koniec Niemiec sprawdził numery na drzwiach i skreślił je z listy.

Dziedziniec więzienia jasno oświetlały umieszczone na ścianach reflektory. Ludzie mieli białe twarze, wszystko przypominało prześwietlony film. Na środku stał samochód ciężarowy, plandeka z tyłu była podniesiona. Więźniowie wspinali się na pakę i siadali na ławkach. Pilnowało ich czterech żołnierzy, mieli pistolety maszynowe. Nie należeli do oddziału, nosili mundury marynarki wojennej. Nikt nie wydawał rozkazów krzykiem, nikt się nie bronił. Tłumacz razem z dowódcą marynarki jechał samochodem terenowym. Przy bramie więzienia na tylne siedzenie wskoczył Hans Meyer. Tłumacz siedział z przodu obok kierowcy. Nie rozumiał wszystkiego o czym rozmawiali mężczyźni. Hans Meyer wspomniał coś o jakimś rozkazie *Hitlera, generale Kesselringu, odwecie w stosunku 1 do 10 – dziesięciu martwych bandytów za jednego martwego żołnierza*. Meyer powiedział, że mają go ściągnąć do Florencji, w Rzymie przy Via Rasella bandyci zastrzelili trzydziestu trzech niemieckich żołnierzy. Miało chodzić o *zadośćuczynienie*. Tłumacz o tym słyszał, chodziło o kompanię policji z Bolzano. Po tym zajściu generał Kesselring kazał w Rowach Ardeatyńskich rozstrzelać trzystu trzydziestu pięciu cywili, nie mieli z tą sprawą nic wspólnego, wśród nich było dziecko. „Poza tym rutynowe działania militarne”, powiedział Meyer.

Jechali trochę ponad godzinę, potem droga zwęziła się, od reflektorów jadącej za nimi ciężarówki dzieliła ich mała odległość. Nagle tłumacz zauważył sarnę, pięknie wyglądała, stojąc w bezruchu, miała błyszczące oczy.

Stracił orientację, kiedy się zatrzymali. Na poboczu zobaczył dwa autobusy. Wszędzie było pełno żołnierzy marynarki wojennej, może ze czterdziestu, zamknęli drogę. Więźniowie zsiadli z ciężarówki. Żołnierze skuwali ich, po dwóch mężczyzn za lewe ręce, jeden musiał iść przodem, drugi tyłem.

Tłumacz został z więźniami i tłumaczył polecenia Niemców. Potem poszedł za Meyerem i żołnierzami do wąwozu. Potknął się, rozciął brzeg

dłoni o skałę, sięgnął nią w mokry mech porastający kamienie. Na dole za zakrętem zatrzymali się na wąskim dnieniu wąwozu. Przy skalnych ścianach unosiła się rzadka mgła. Przed nimi znajdował się dół, musieli go wykopać inni więźniowie, brzegi były umocnione deskami. Tłumacz nie mógł zrobić inaczej, musiał spojrzeć do środka.

Nagle wszystko nabrało tempa. Dziesięciu żołnierzy ustawiło się w rzędzie, pięć, sześć metrów od dołu. Nad dół przyprowadzono pięciu więźniów i ustawiono ich na drewnianej desce. Spoglądali w wyloty luf, nie mieli przewiązanych oczu. Nie było wyjaśnień, księdza, nikt nic nie mówił. Dowódca wydawał rozkazy: „odbezpieczyć broń”, „cel”, „pal”. Chwilę później padło dziesięć strzałów. Ich echo odbiło się od skał. Mężczyźni wpadli plecami do dołu. Następnie żołnierze przyprowadzili kolejnych pięciu partyzantów. Wcześniej jeden ze starszych podoficerów zszedł z pistoletem po małej drabinie do dołu. Miał na sobie kalosze, nie chciał ubrudzić oficerek. Tam w dole strzelił dwóm mężczyznom w głowę. Jakby to była oznaka łaski, pomyślał tłumacz.

Partyzanci stojący na desce przyglądali się śmierci. Ich poprzednicy leżeli w błocie, jeden na drugim, ich nogi i ręce były nienaturalnie powykęcane, głowy roztrzaskane, na ich kurtkach i w błotnych kałużach znajdowała się krew. Nikt nie stawiał oporu. W raporcie dziennym zostało później zapisane: „Przedsięwzięto kroki zaradcze. Żadnych szczególnych zajęć”. Tylko jedna osoba nie zastosowała się do ustalonego porządku; mężczyzna nie spojrział na żołnierzy, spojrział w niebo, uniósł ręce do góry. „Viva Italia”, krzyknął. Później zawołał jeszcze raz: „Viva Italia”. Jego głos brzmiał jak z oddali. Jak gdyby był nagi, pomyślał tłumacz. Któryś z żołnierzy nie wytrzymał, strzelił za wcześnie, uciszył krzyk jednym strzałem. Tłumacz widział, jak kula uderza w klatkę piersiową mężczyzny, ten przewraca się, jego ręce były nadal wyciągnięte ku górze. Żołnierz, który wystrzelił za wcześnie, miał młodą twarz, niemal dziecięcą, usta otwarte, a jego broń gotowa była do kolejnego strzału. Ten mężczyzna nigdy nikomu nie opowie o tym dniu. To już nie była wojna, bitwa czy kontakt z wrogiem. Ludzie zabijali innych ludzi, to wszystko. Tłumacz widział oczy młodego żołnierza, może jeszcze nie tak dawno siedział w szkolnej ławce albo na sali wykładowej. Tłumacz będzie pamiętał o tym całe życie; to była chwila prawdy, ale nie wiedział jakiej.

Było już po wszystkim. Żołnierze zasypywali dół, w którym leżeli martwi mężczyźni. Na koniec ustawili w tym miejscu wielki kamień. W drodze powrotnej w samochodzie panowała cisza. Gdy tłumacz wsiadał znów na swój rower w Genui, powoli nastawał nowy dzień. Nie chciał

jechać do domu, patrzeć na swoją żonę i dzieci. Pojechał nad morze, położył się na plaży i spoglądał na fale.

Wieczorem się upił. Kiedy wrócił do domu, opowiedział żonie o poranku w wąwozie. Siedzieli w kuchni, gdy mówił, jego żona nie przestawała mu się przyglądać. Później wstała i okładała go po w twarzy dopóty, dopóki nie opadła z sił i nie mogła zadawać razów. Długi czas stali tak w ciemności. W końcu zapalił światło i podał jej listę z nazwiskami osadzonych, którą dostał w więzieniu. Jego żona przeczytała ją na głos. Pierwsze nazwisko brzmiało Nicola Collini.

Cztery dni później wiadomość dotarła do wioski, w której mieszkała rodzina Collinich. Nocą wuj Mauro pochylił się nad chłopcem i pocałował go w oczy.

– Fabrizio – powiedział do śpiącego dziecka – teraz jesteś moim synem.

Tłumacz – powiedział Leinen – w 1945 roku został skazany na śmierć przez Nadzwyczajny Sąd z Udziałem Sędziów Przysięgłych. – Potem usiadł.

Cisza na sali była nie do zniesienia. Nawet przewodnicząca martwym wzrokiem przyglądała się, jak Leinen składa swoje papiery. W końcu zwróciła się do prokuratora naczelnego Reimersa:

– Czy prokuratura chce zająć stanowisko w tej sprawie?

Kiedy padło pytanie, napięcie na sali wzrosło. Reimers machnął ręką. Powiedział, że wypowie się dopiero po zweryfikowaniu dokumentów. Ledwo można było go zrozumieć.

Przewodnicząca spojrzała na Mattingera.

– Czy oskarżyciel posiłkowy chciałby coś wyjaśnić?

Mattinger wstał.

– Wydarzenia, które przedstawiła obrona, są tak przerażające, że potrzebuję trochę czasu. Nie sądzę, żeby ktokolwiek na sali uważał inaczej – powiedział. – Ale jednej rzeczy po prostu nie rozumiem. Zadaję sobie pytanie: dlaczego dopiero teraz? Jeśli to, co zostało tu dziś powiedziane, to prawda, nasuwa się pytanie: dlaczego oskarżony tak długo zwlekał z zabiciem Hansa Meyera?

Leinen chciał powiedzieć, że jego klient później zajmie pisemnie stanowisko w tej sprawie. Nie zauważył, kiedy siedzący obok Collini poruszył się. Rosły mężczyzna podniósł się i stojąc nieruchomo spojrzał na Mattingera. Potem powiedział:

– Moja ciotka... – Po raz pierwszy usłyszeć można było jego głęboki, miękki głos. Leinen szybko obrócił się w jego stronę. – Proszę mi pozwolić – cicho powiedział Collini. Potem znów zwrócił się do Mattingera: – Mój wuj już od dawna nie żyje. Ciotka Giulia zmarła 1 maja 2001 roku. Ledwo zniosła to, że za pracą jadę do kraju morderców. Nie przeżyłaby, gdybym i ja trafił do niemieckiego więzienia. Musiałem odczekać do jej śmierci. Dopiero wtedy mogłem zabić Meyera. To cała historia. – Collini usiadł. Zrobił to ostrożnie, nie chciał hałasować. Przez chwilę Mattinger przyglądał mu się, potem pokiwał głową.

– Pani przewodnicząca – powiedział – moje stanowisko w tej sprawie chciałbym zająć w kolejnym dniu rozprawy.

Przewodnicząca zamknęła posiedzenie.

Leinen poszedł na wielopoziomowy parking i wsiadł do auta. Długo jeździł po mieście. Na jednym ze skrzyżowań z papierowym kubkiem siedział bezdomny. Przy Unter den Linden nauczyciel pokazywał klasie pomnik Fryderyka II Wielkiego oraz miejsce upamiętniające spalenie książek przez hitlerowców. Z wielkiego plakatu jakiś polityk obiecywał rozwój i niskie podatki. Leinen chętnie by z kimś porozmawiał, ale nie było nikogo, z kim by mógł. Pojechał na targ staroci przy ulicy 17 Czerwca i spacerował wśród straganów. Można tam było znaleźć rzeczy, które pozostały po zmarłych w ich pustych mieszkaniach: sztucce, żyrandole, reprodukcje, grzebienie, szklanki, meble. Młoda kobieta w towarzystwie chłopaka przymierzała futro, przybierała pozy i robiła nadąsaną minę. Pewien mężczyzna sprzedawał ilustrowane czasopisma i zachwalał je tak, jakby dopiero co się ukazały. Leinen przysłuchiwał mu się przez jakiś czas, potem wrócił do samochodu.

Na kolejnym posiedzeniu sądu Mattinger wstał od razu, jak tylko przewodnicząca wszystkich powitała. Wyglądał teraz inaczej niż podczas dwóch poprzednich posiedzeń. Podłużne i poprzeczne zmarszczki na czole zdawały się głębsze, był bardziej skoncentrowany i pełen energii. Przewodnicząca oddała mu głos.

– Panie i panowie sędziowie – powiedział. – Poprzedniego dnia procesu obrońca przedstawił nam motyw oskarżonego. Jego ojciec został rozstrzelany z rozkazu Hansa Meyera. Pięćdziesiąt siedem lat później Fabrizio Collini mści się. To oczywiste, że zemsta może być sprawą honoru. Jednak motyw przedstawia się w zupełnie innym świetle, jeśli zastrzelenie ojca Fabrizia Colliniego miałyby być według ówczesnego prawa dozwolone. Wtedy bowiem Collini zabiłby mężczyznę, który uczynił to, co nakazywało prawo i ustawy. Mattinger zaczerpnął powietrza i odwrócił się do Leinena. – Niezależnie od tego, ochrona ofiary jest również zadaniem oskarżyciela posiłkowego. A ofiarą w tym procesie nie jest oskarżony, lecz w dalszym ciągu Hans Meyer.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – przerwała mu przewodnicząca. Mattinger podniósł w górę stos gazet. Zrobiło się głośno.

– Obrońcy udało się przedstawić Hansa Meyera jako brutalnego zbrodniarza. Każda gazeta pisze o jego straszliwych czynach, na pewno sama pani czytała. – Rzucił gazety na stół. – W związku z tym nieuniknione jest przesłuchanie biegłego, który wyjaśni nam, czy Hans Meyer rzeczywiście był mordercą. Każdy cios musi odbić się rykoszetem, tak w wielu wypadkach przewiduje kodeks postępowania karnego. Innymi słowy, nie możemy miesiącami zawracać głowy sądowi postępowaniem dowodowym w sprawie rozstrzelania, żeby później usłyszeć, że było ono dozwolone. – Mattinger zdjął okulary, oparł się o stół i spojrzał na przewodniczącą. – Dlatego proszę sąd o zezwolenie mi na przesłuchanie jako biegłej dyrektorki Archiwum Związkowego w Ludwigsburgu. Zaprosiłem tu dziś panią doktor Schwan, czeka przed salą.

– To bardzo nietypowe zachowanie, panie Mattinger – powiedziała przewodnicząca i pokręciła głową. – Nie złożył pan wniosku o dopuszczenie dowodu w postaci przesłuchania świadka i pani doktor Schwan nie została wezwana na świadka.

– Jestem tego świadomy – powiedział Mattinger. – I proszę sąd o wyrozumiałość. Jednak w interesie oskarżyciela posiłkowego musiałem działać szybko.

Przewodnicząca spojrzała w stronę sędziów siedzących po lewej i prawej stronie. Obaj skinęli głowami.

– Nie powołaliśmy na dziś żadnych innych świadków. Jeśli prokuratura i obrona nie wnoszą sprzeciwu, dopuszczę panią doktor Schwan jako biegłą. Ale od razu ostrzegam, panie Mattinger, to ostatni raz, kiedy pozwalam na takie cyrki.

– Dziękuję bardzo – powiedział Mattinger i usiadł. Przewodnicząca poprosiła strażnika o przyprowadzenie biegłej. Kobieta weszła do sali i stanęła na miejscu dla świadka. Była prawie bez makijażu, miała zaczesane do tyłu włosy i mądry wyraz twarzy. Otworzyła aktówkę i na stole przed sobą położyła około dziesięciu jasnoszarych teczek z dokumentami. Potem spojrzała na przewodniczącą i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Czy może nam pani podać swoje nazwisko i wiek? – zapytała przewodnicząca.

– Nazywam się doktor Sybille Schwan i mam trzydzieści dziewięć lat.

– Z zawodu jest pani...?

– Jestem historyczką i jurystką, obecnie kieruję Archiwum Związkowym w Ludwigsburgu.

– Czy jest pani spokrewniona lub spowinowana z oskarżonym?

– Nie.

– Pani doktor Schwan, prawo nakazuje mi panią pouczyć. Musi pani swoją opinię wydać bezstronnie oraz zgodnie z najlepszą wiedzą i doświadczeniem. Może pani zostać zaprzysiężona. Krzywoprzysięstwo grozi karą co najmniej roku pozbawienia wolności. – Przewodnicząca zwróciła się do Mattingera: – Panie Mattinger, poprosił pan panią doktor Schwan o przybycie do sądu. Sąd nie zna okoliczności, w związku z którymi chce pan przesłuchać biegłą. Dlatego od razu przekazuję panu prawo zadawania pytań. Proszę więc zaczynać. – Przewodnicząca odchyliła się.

– Bardzo dziękuję. – Mattinger spojrzał na biegłą znad okularów. – Pani doktor Schwan, czy może pani opowiedzieć nam o sobie i swoim wykształceniu.

– Studiowałam prawo oraz historię średniowieczną w Bonn. Przystąpiłam do egzaminów końcowych na obu kierunkach, uzyskałam tytuł doktora nauk historycznych. Później ukończyłam dwuletnią aplikację w szkole dla archiwistów w Marburgu. Od półtora roku kieruję oddziałem Archiwum Związkowego w Ludwigsburgu.

– Co to za archiwum?

– W 1958 roku założono Centrum Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych. W Ludwigsburgu znajdowały się nieużywane pomieszczenia, dlatego centrum utworzono właśnie tam. Oddelegowywano sędziów i prokuratorów ze wszystkich krajów związkowych. Mieli zebrać możliwie wszystkie istniejące jeszcze dokumenty dotyczące zbrodni nazistów, przeprowadzać wstępne dochodzenia i przekazywać postępowania odpowiednim prokuraturom. 1 sierpnia 2000 roku utworzono tam oddział Archiwum Związkowego. Zarządzamy dokumentami centrum. Jest tam około osiemset do tysiąca metrów bieżących akt archiwalnych.

– Zajmuje się więc pani zawodowo, jako dyrektorka archiwów, egzekucjami zakładników i partyzantów w czasach III Rzeszy?

– Tak.

– Czy mogłaby pani nam prosto wyjaśnić, czym właściwie jest rozstrzelanie partyzanta?

– Podczas II wojny światowej Niemcy i alianci rozstrzelali cywilów. Miało to stanowić odwet za zamachy na ich siły zbrojne i zmusić społeczeństwa do zaniechania kolejnych ataków.

– Rozumiem. Czy często się to zdarzało?

– Tak, bardzo często. W samej Francji rozstrzelano na przykład trzydzieści tysięcy osób. Liczby sięgają w sumie setek tysięcy.

– A czy po upadku narodowego socjalizmu odbywały się procesy o te właśnie egzekucje?

– Tak, w wielu państwach. Na przykład we Francji, Norwegii, Królestwie Niderlandów, Danii, Austrii, we Włoszech przed brytyjskim Trybunałem Wojskowym, a w Niemczech przed amerykańskim Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Później procesy oczywiście odbywały się też w Republice Federalnej.

– Z jakim rezultatem?

– Różnym. Wydawano wyroki uniewinniające i skazujące.

– Jakie wyroki zasądził na przykład amerykański Trybunał Wojskowy w Norymberdze?

– W tak zwanym *procesie dowódców na Bałkanach* niemieckim generałom zarzucono zabójstwo stu tysięcy niewinnych cywilów w Grecji, Albanii i Jugosławii. Oskarżenie uznało czyn za karalny.

– A co postanowił sąd?

– Sąd uznał, że zabójstwo było „pozostałością barbarzyńskiej przeszłości”. Ale...

– ...ale co? – zapytał Mattinger.

– Ale w ekstremalnych przypadkach było dozwolone.
– Dozwolone? Zabijanie niewinnych cywili miało być dozwolone? Jakie były wymogi? – zapytał Mattinger.

– Był szereg warunków. Na przykład pod żadnym pozorem nie wolno zabijać kobiet i dzieci. Zabójstwo nie mogło być brutalne. Przed skazaniem nie wolno było torturować ludzi. Musiano dołożyć wszelkich starań, by schwytać faktycznych sprawców zamachów.

– Czy były jeszcze inne warunki?

– Tak. Rozstrzelanie musiało zostać podane do publicznej wiadomości. Tylko w ten sposób można było powstrzymać resztę społeczeństwa przed kolejnymi zamachami. Sporną kwestią pozostało, w jakim stosunku rozstrzelanie mogło być uzasadnione.

– Co ma pani na myśli? – zapytał Mattinger.

– To, czy z zemsty za śmierć jednego żołnierza wolno było zabić jednego cywila. Czy też dziesięciu lub tysiąc – powiedziała biegła.

– I jakie były postanowienia?

– Bardzo różne. Prawo międzynarodowe nie podaje jednej reguły. W 1941 roku Hitler wydał rozkaz, w którym domagał się stosunku jeden do stu; prawo międzynarodowe z pewnością nigdy nie pozwoliłoby na taką proporcję.

– Jaka była górna granica? – zapytał Mattinger.

– Nie ma jasnej odpowiedzi. W każdym razie prawo zabraniało ekscesów.

– Dziękuję, pani doktor Schwan. Przejdźmy teraz do właściwej kwestii. Czy znane są pani akta Hansa Meyera?

– Owszem.

– Przeanalizujmy je więc raz jeszcze, szczegółowo. W 1944 roku włoscy partyzanci zdetonowali bombę w jednej z kawiarni w Genui. Zginęło dwóch niemieckich żołnierzy. Czy według podanych przez panią kryteriów był to zamach?

– Tak.

– Po zamachu Służba Bezpieczeństwa szukała odpowiedzialnych za niego partyzantów. Nie znaleziono ich. Czy uznałaby pani, że podane przez panią warunki zostały spełnione?

– Tak.

– Hans Meyer, na odgórny rozkaz, zarządził rozstrzelanie dwudziestu partyzantów. Stosunek wynosił jeden do dziesięciu. Czy był on jeszcze dozwolony, czy za wysoki?

– Nie mogę tego jednoznacznie określić. Prawdopodobnie należałoby

uznać go za dopuszczalny.

– Ale – powiedział Mattinger – sądy zabroniły strzelania do kobiet i dzieci, czy tak?

– Tak. To nigdy nie było dozwolone. W każdym takim wypadku sprawcy byli skazywani.

– Zgodnie z tym, co jest napisane w aktach, ofiarami byli wyłącznie dorośli mężczyźni. Najmłodszy miał dwadzieścia cztery lata. Czy i na to pozwalało prawo międzynarodowe?

– Tak.

– Czy według pani wiedzy wcześniej tych mężczyzn torturowano, żeby się od nich czegoś dowiedzieć? Co oczywiście również byłoby zabronione.

– Nie. W aktach nie ma wzmianki na ten temat.

– Czy informacja o rozstrzelaniu partyzantów została podana do publicznej wiadomości? – zapytał Mattinger.

– W aktach znajdują się trzy obwieszczenia z lokalnej prasy na ten temat. Zgodnie z normami prawa międzynarodowego, powinno było to wystarczyć.

Mattinger zwrócił się do sądu:

– Mówiąc inaczej, zostały spełnione wszystkie kryteria, które wymieniła biegła. – Mężczyzna zdjął okulary i odłożył akta. – Pani doktor Schwan, czy kiedykolwiek przeciw Hansowi Meyerowi prowadzono jakieś postępowanie?

– Tak.

– Tak? – Mattinger udał zaskoczonego. – Czy prokuratura rzeczywiście prowadziła przeciw niemu dochodzenie?

– Tak, prokuratura w Stuttgarcie.

– Kiedy to było?

– W latach 1968–1969.

– Czy doszło do skazania Hansa Meyera?

– Nie.

– Nie?... Czy został oskarżony?

– Nie.

– Czy został choć raz przesłuchany?

– Nie.

– Ach tak, rozumiem. – Mattinger lekko odwrócił się na krześle w stronę miejsc dla publiczności i dziennikarzy. – Nie został nawet raz przesłuchany... To ciekawe... Pomimo że stuttgarcka prokuratura prowadziła w związku z tymi zarzutami postępowanie przeciw Hansowi Meyerowi, pomimo prowadzonego śledztwa i założenia akt nie został oskarżony ani skazany. Usłyszeliśmy właśnie, że Hans Meyer spełnił wszystkie kryteria

dozwolonego rozstrzelania więźniów. Stąd moje pytanie końcowe, pani doktor Schwan: jak zakończyło się postępowanie przeciw Hansowi Meyerowi?

– Zostało umorzone.

– Właśnie tak, postępowanie zostało umorzone – powiedział Mattinger. – 7 lipca 1969 roku prokuratura w Stuttgarcie umorzyła dochodzenie przeciw Hansowi Meyerowi.

– Zgadza się. – Biegła spojrzała na Leinena wzrokiem szukającym pomocy. Niemal niezauważalnie kiwnął głową.

– Dziękuję, pani doktor Schawn. – Mattinger odwrócił się do sądu. – Nie mam do biegłej więcej pytań. – Zwyciężył, Hans Meyer nie był już mordercą. Mattinger uśmiechał się.

– Ogłaszam przerwę obiadową – powiedziała przewodnicząca.

Leinen odwrócił się do Colliniego, mężczyzna miał pochyloną głowę, jego ręce leżały ciężko na kolanach. Ogromny mężczyzna płakał.

Mattingerowi wystarczyły tylko dwie godziny, żeby raz jeszcze zabić ojca Colliniego.

– To jeszcze nie koniec – powiedział Leinen. Collini nie zareagował.

Przed salą Mattinger odpowiadał na pytania prasy. Leinen minął go i wyszedł na zewnątrz. Na chodniku stali dziennikarze, jeden z nich biegł za Leinenem, ale ten nie zwracał na niego uwagi. Stał przy bocznej ulicy, upuścił aktówkę i oparł się o ścianę. Skurcz w udzie powoli ustępował. Leinen przeszedł obok bocznego budynku sądu, chciał pójść do małego parku. Na wysokim ceglany murze przy Wilsnackerstraße zobaczył tablicę, dotąd nie zwrócił na nią uwagi: *Tym krajem rządziło jedynie szaleństwo*, fragment z *Sonetów z Moabit* Albrechta Haushofera. Haushofer napisał ten wiersz w więzieniu, w roku 1945 został rozstrzelany przez hitlerowców. Leinen minął wejście, znajdował się tam mały cmentarz. Miasto ufundowało betonową stelę z napisem: *Zmarli podczas działań wojennych, w schronach przeciwlotniczych, w trakcie zdobywania tego, co potrzebne im było do życia, przez strzał w tył głowy lub śmiercią samobójczą*. Usiadł na ławce. Pochowano tu trzysta osób poległych w ostatnich dniach wojny, zupełnie nierealne miejsce w samym środku miasta.

Leinen nie potrafił wyobrazić sobie wojny. Ojciec opowiadał o zimnie, chorobach i brudzie, o żołnierzach uzbrojonych po zęby, niedostatku, śmierci i strachu. On sam widział mnóstwo filmów, przeczytał równie dużo książek i esejów. W szkole prawie na każdym przedmiocie omawiali III Rzeszę, wielu z jego nauczycieli studiowało w latach sześćdziesiątych,

chcieli być lepsi od rodziców. Jednak ostatecznie wszystko pozostało odległym marzeniem. Leinen zamknął oczy i próbował się odprężyć.

Kiedy tuż po godzinie drugiej wszyscy z powrotem zajęli miejsca na sali rozpraw, przewodnicząca powiedziała:

– Sąd nie ma pytań do biegłej. Panie prokuratorze naczelny, czy ma pan pytania? – Reimers pokręcił głową. Zwróciła się do Leinena: – Panie obrońco...

Zegar wiszący za ścianie pokazywał czternastą sześć. Publiczność, dziennikarze, sędziowie, prokurator, Mattinger i biegła – wszyscy oni spoglądali na Leinena i czekali. Światło padało przez wysokie żółte okna i załamywało się w okularach przewodniczącej. W powietrzu unosił się kurz. Na zewnątrz zatrząbił samochód.

Przewodnicząca powiedziała:

– Najwyraźniej obrona również nie ma pytań. Czy strony wnoszą o odebranie przyrzeczenia od biegłej? Nie? Dobrze. Czy biegła może zostać zwolniona? – Reimers i Mattinger skinęli potakująco. – Zatem dziękuję, pani doktor Schwan, za szybkie przybycie i...

– ...mam jeszcze kilka pytań – przerwał głośno Leinen. Mattinger otworzył usta, ale nic nie powiedział.

– Trochę późno, panie obrońco, ale proszę. – Przewodnicząca była rozgniewana.

Głos Leinena zmienił się, nie miał w sobie już nic z miękkości.

– Pani doktor Schwan, czy może nam pani powiedzieć, kto złożył doniesienie przeciw Hansowi Meyerowi?

– Pański klient, Fabrizio Collini.

Jeden z sędziów uniósł głowę. Nikt o tym nie wiedział. Mattinger pobladł na twarzy.

– Kiedy prokuratura umorzyła śledztwo? – zapytał Leinen.

Biegła zaczęła kartkować akta.

– 7 lipca 1969 roku. 21 lipca 1969 roku Fabrizio Collini otrzymał postanowienie o umorzeniu postępowania.

– Dla pewności: mówimy teraz o umorzeniu, o które pan Mattinger pytał panią przed przerwą?

– Tak.

– Czy prokuratura w Stuttgarcie umorzyła dochodzenie, ponieważ rozstrzelywanie partyzantów było dozwolone?

– Nie.

– Co? Nie? – Leinen mówił coraz głośniej. Wyraził zdziwienie jakby

w imieniu zebranych na sali. Wszystkich poza nim samym. – Ale właśnie to pani nam przed chwilą powiedziała.

– Nie, tego nie powiedziałam. Pan Mattinger po prostu zrećcznie zadał pytanie, mogło zostać źle zrozumiane. Powiedziałam jedynie, że śledztwo zostało umorzone. Powodem było jednak zupełnie coś innego.

– Inny powód? Czyżby rozstrzelanie nie odbyło się?

– Odbyło się.

– Więc czy Hans Meyer nie brał w nim udziału?

– Hans Meyer był oficerem dowodzącym.

– Nie rozumiem. Więc dlaczego umorzono dochodzenie przeciw niemu?

– Po prostu... – Nie spieszyła się z odpowiedzią. Leinen wiedział, że ten temat to jej specjalność. Godzinami dyskutowali o tym w Ludwigsburgu. – Przepięstwa uległy przedawnieniu.

Na sali zapanował niepokój.

– Przedawnieniu? – powtórzył Leinen. – Nie zbadano, czy Hans Meyer był winny?

– Tak właśnie było.

– Jeśli dobrze panią zrozumiałem, mój klient wskazał prokuraturze człowieka, który kazał rozstrzelać jego ojca. Fabrizio Collini spełnił wszystkie wymogi stawiane przez państwo prawa: złożył doniesienie o popełnieniu przestępstwa, dostarczył dowody, zaufał władzy. A po roku dostał list zawierający kartkę, na której napisano, że dochodzenie zostało umorzone w związku z przedawnieniem przestępstwa.

– Tak. Przepięstwo uległo bowiem przedawnieniu na mocy ustawy, która weszła w życie 1 października 1968 roku.

Dziennikarze z powrotem wyjęli zeszyty i notowali.

Leinen wciąż udawał zdziwionego.

– Słucham? 1968 był rokiem rewolt studenckich. W kraju ogłoszono stan wyjątkowy. Studenci obarczali swoich rodziców odpowiedzialnością za III Rzeszę. I właśnie w 1968 roku Bundestag postanowił, że te czyny ulegają przedawnieniu?

Mattinger wstał, doszedł już do siebie.

– Wnoszę o uchylenie pytania. Gdzie my jesteśmy? Czy to jest proces karny, czy wykład historyczny? To nie ma przecież nic wspólnego z postępowaniem. Bundestag najwyraźniej chciał, by te czyny uległy przedawnieniu. To nie ustawodawca tylko oskarżony stoi przed sądem.

– Przeciwnie, to ma dużo wspólnego z kwestią winy, panie Mattinger – powiedział Leinen. Jego głos był twardy. – Choć nie zmienia tego, że Collini zabił. Ale jak pan sam powiedział, może stanowić ogromną różnicę, czy jego

czyn był przypadkowy lub czy da się go wytłumaczyć.

Przewodnicząca powoli obracała w ręce pióro. Najpierw spojrzała na Mattingera, później na Leinena.

– Dopuszczam pytanie – powiedziała w końcu. – Dotyczy motywu oskarżonego i tym samym może być decydujące w kwestii winy. – Mattinger usiadł z powrotem, nie było sensu kwestionować decyzji.

– Czy mógłby pan zadać pytanie raz jeszcze? – powiedziała pani doktor Schwan.

– Oczywiście. Ale chciałbym sformułować je inaczej – odparł Leinen. – Pan Mattinger powiedział przed chwilą, że w 1968 roku Bundestag chciał, by przestępstwa narodowosocjalistyczne uległy przedawnieniu. Zapytam panią jako historyczkę: czy to prawda?

– Nie. Sprawa jest bardziej skomplikowana.

– Bardziej skomplikowana?

– W tamtych latach odbyła się w Niemczech spora debata. Wszystkie przestępstwa z czasów III Rzeszy uległy przedawnieniu w 1960 roku. Tylko nie morderstwa. Te wciąż chciano ścigać. Lecz wtedy doszło do katastrofy.

– Co się stało? – Leinen oczywiście znał odpowiedź, ale musiał tak zadawać pytania bieglej, żeby wszyscy zrozumieli, o co chodzi.

– 1 października 1968 roku uchwalono z pozoru nieistotny przepis. Nazywał się PwDuoW, *Przepis Wprowadzający do Ustawy o Wykroczeniach*. Ta ustawa wydawała się tak nieznacząca, że w Bundestagu nie została poddana pod dyskusję. Żaden z posłów nie rozumiał, o czym ona mówi. Nikt nie przypuszczał, że może zmienić historię.

– Proszę nam to wytłumaczyć bardziej szczegółowo.

– Wszystko zaczęło się od człowieka o nazwisku Eduard Dreher. Za czasów III Rzeszy doktor Dreher był pierwszym prokuratorem przy Sądzie Specjalnym w Innsbrucku. Nie mamy o nim dużo informacji z tamtego czasu, ale to, co wiemy, jest przerażające. Złożył na przykład wniosek o karę śmierci dla mężczyzny, który ukradł artykuły spożywcze. Chciał takiej kary również dla kobiety, która nielegalnie kupiła parę kartek na odzież. Skazanie jej na piętnaście lat karnego obozu pracy Dreherowi nie wystarczyło, kazał ją zamknąć w karnym obozie pracy.

– Karny obóz pracy?

– Coś na kształt obozu koncentracyjnego – wyjaśniła biegła. – Po kapitulacji Dreher początkowo pracował w Republice Federalnej Niemiec jako adwokat. Ale w roku 1951 ściągnięto go do Federalnego Ministerstwa Sprawiedliwości i tak rozpoczęła się jego kariera. Dreher został wysokim

urzędnikiem ministerialnym i dyrektorem departamentu prawno-karnego.

– Czy przeszłość Drehera była znana?

– Tak.

– I mimo to został zatrudniony? – zapytał Leinen.

– Tak.

– Co stało się z ustawą?

– Trzeba zaznaczyć, że zgodnie z orzecnictwem tylko najwyższe dowództwo nazistów uznano za morderców – powiedziała biegła. – Wszystkich pozostałych zakwalifikowano jako pomocników w zbrodni. Było tylko kilka wyjątków.

– Więc Hitler, Himmler, Heydrich i reszta byli mordercami, a pozostali jedynie ich pomocnikami?

– Tak. Uznawani byli za osoby tylko wykonujące rozkazy.

– Ale... ale prawie każdy w III Rzeszy tylko wykonywał rozkazy – powiedział Leinen.

– Zgadza się. Każdy żołnierz, który wykonywał rozkazy, był zgodnie z orzecnictwem jedynie pomocnikiem.

– A jeśli jakiś człowiek z jakiegoś ministerstwa – zaczął Leinen – siedząc w biurze, organizuje wywózkę Żydów do obozu koncentracyjnego, to czy zgodnie z orzecnictwem też nie jest sprawcą?

– Tak. Zgodnie z orzecnictwem wszyscy tak zwani sprawcy kierowniczy byli jedynie pomocnikami. Przed sądem żaden z nich nie był traktowany jako morderca.

– Niezależnie od tego, że wydaje mi się to absurdalne, to czy to rozróżnienie miało wpływ na ściganie przestępstwa?

– Początkowo nie.

– Ale wspomniała pani coś o katastrofie – powiedział Leinen.

– Ustawa Drehera, PWdUoW, zmieniła czas przedawnienia. Ta drobna ustawa wydawała się tak nieszkodliwa, że nikt nie zauważył, co się stało. Krajowe administracje wymiaru sprawiedliwości jedenastu landów, członkowie Bundestagu, Bundesrat i Komisja Prawna, wszyscy to przespali. Dopiero prasa ujawniła skandal. I kiedy wszyscy się obudzili, było za późno. Upraszczając: ustawa oznaczała, że pomocnicy w zbrodni byli karani jako zabójcy, a nie mordercy.

– I oznaczało to...

– ...oznaczało, że ich czyny w jednej chwili uległy przedawnieniu. Sprawcy byli uwalniani. Niech pan sobie wyobrazi: w tym samym czasie prokuratura przygotowywała w Berlinie ogromne postępowanie przeciwko Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy. Kiedy uchwalono PWdUoW,

prokuratorzy mogli spakować swoje manatki. Pracownicy urzędu, którzy zorganizowali masakry w Polsce i Związku Radzieckim, ludzie, którzy odpowiedzialni byli za śmierć milionów Żydów, księży, komunistów i Romów, nie mogli zostać pociągnięci do odpowiedzialności. Ustawa Drehera była niczym innym jak amnestią. Amnestią dla niemal wszystkich.

– Ale dlaczego nie można było wycofać ustawy?

– Tego zabrania podstawowa zasada państwa prawa. Kiedy czyn karalny raz ulega przedawnieniu, nie można już tego cofnąć.

Leinen wstał. Podszedł parę kroków do ławy sędziowskiej i wziął do ręki jeden z komentarzy w szarej okładce, które stały na stole przed przewodniczącą. Podał książkę biegłej.

– Przepraszam, czy to ten Dreher? Doktor Eduard Dreher, który napisał najpopularniejszy komentarz do kodeksu prawa karnego? Komentarz, który dziś stoi na biurkach niemal wszystkich sędziów, prokuratorów i obrońców.

– Właśnie ten – odparła biegła. – Jest współautorem komentarza „Dreher/Tröndle”.

Leinen rzucił komentarz z powrotem na stół sędziów. Potem wrócił na swoje miejsce.

– Czy Dreher został pociągnięty do odpowiedzialności?

– Nie. Do dziś nie udało się bezsprzecznie udowodnić, że Dreher po prostu był obłąkany. Zmarł w 1996 roku okryty chwałą.

– Wróćmy do naszej sprawy – powiedział Leinen. – Powiedziała pani, że rozstrzeliwanie partyzantów, zgodnie z panującym wówczas prawem międzynarodowym, w ściśle określonych warunkach było generalnie dozwolone. Jak sądy i prokuratura osądziłyby Hansa Meyera w latach sześćdziesiątych? Zostałby mordercą czy pomocnikiem?

– To oczywiście teoretyczne pytanie. Jeśli porównałabym czyny Hansa Meyera z innymi postępowaniami z tamtych czasów... Wydaje mi się, że te egzekucje na partyzantach nie byłyby przez sądy uznane za okrutne.

– Czy dzisiaj byłoby inaczej? – zapytał Leinen.

– Dzięki pierwszemu procesowi oświęcimskiemu, który odbył się w latach 1963–1965 we Frankfurcie, większa część społeczeństwa po raz pierwszy została skonfrontowana z okrucieństwem. Jednak dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych nastroje naprawdę się zmieniły. W niemieckiej telewizji nadawano wtedy amerykański program. Nosił tytuł *Holokaust*. Każdy odcinek co poniedziałek oglądało i dyskutowało o nim od dziesięciu do piętnastu milionów osób. Dziś żyjemy i osądzamy inaczej niż w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych.

– Jaki byłby rezultat? – zapytał Leinen.

– Na rozkaz Meyera partyzanci zostali rozstrzelani i zakopani w dole. Nie mieli na oczach przepasek. Widzieli ciała, na które potem upadali. Musieli słuchać, jak wcześniej rozstrzeliwano ich towarzyszy. Transport do miejsca, w którym ich mordowano, trwał godzinami i przez cały ten czas wiedzieli, że czeka ich śmierć. Rozstrzeliwanie ludzi stojących nad dołem przypomina masowe egzekucje w obozach koncentracyjnych... Jednak wydaje mi się, że Trybunał Federalny osądziłby to dziś inaczej, Meyer potraktowany zostałby jako pomocnik w zbrodni.

– Ale jeśli dobrze panią zrozumiałem, nic by to nie dało...

– Tak, zgadza się. Czyn Meyera uległby przedawnieniu. Chroniłyby go ustawy i orzecznictwo.

– Dziękuję pani, doktor Schwan.

Leinen usiadł. Był wykończony.

Przewodnicząca nie odebrała przyrzeczenia od biegłej. Potem powiedziała:

– Zrobimy przerwę. W obliczu nowych wniosków o przeprowadzenie dowodów sąd uda się na naradę i ustali porządek posiedzeń na najbliższe tygodnie. Proszę zarezerwować sobie poniedziałki i czwartki. Ciąg dalszy rozprawy głównej odbędzie się w najbliższy czwartek w tej sali. Do zobaczenia.

Sala powoli opustoszała. Leinen został na swoim miejscu. Collini długo milczał, a Leinen nie chciał mu przeszkadzać. W końcu otrząsnął się.

– Nie jestem taki dobry w mówieniu, panie Leinen. Chciałem tylko powiedzieć, że nie wydaje mi się, żebyśmy wygrali. U nas mówi się, że to nie umarli chcą zemsty, tylko żywi. Całymi dniami siedzę w celi i myślę o tym.

– To mądre zdanie – powiedział Leinen.

– Tak, mądre zdanie – powiedział wielki mężczyzna, wstał i podał Leinenowi rękę.

Collini musiał się schylić, żeby przejść przez prowadzące do więzienia niskie drzwi. Strażnik zamknął je za nim. Przed salą czekał Mattinger. Miał w ustach cygaro i uśmiechnął się, kiedy zobaczył Leinena.

– Brawo, Leinen, minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz tak zostałem pokonany. Na całej linii. Gratuluję panu.

Razem zeszli po schodach do głównego wyjścia.

– Niech pan powie, skąd właściwie wiedział pan, że chciałem przesłuchać jako biegłą dyrektorkę archiwum? – zapytał Mattinger.

– Nie wiedziałem. Pani doktor Schwan i ja dobrze się w Ludwigsburgu porozumieliśmy. Zadzwoiła do mnie po tym, jak się pan do niej zgłosił.

Mogłem się przygotować.

– Bardzo dobrze, tak wygrywa się procesy. Prawdopodobnie jest pan w tej chwili najpopularniejszym adwokatem republiki. Jednak, drogi panie Leinen, mimo to nie ma pan racji. – Starszy adwokat zaciągnął się i wydmuchnął dym w powietrze. – Sędziom nie wolno osądzać według tego, co w danym momencie wydaje się poprawne politycznie. Jeśli Meyer wtedy postąpił słusznie, nie możemy dziś go za to oskarżać.

Wyszli na zewnątrz.

– Wydaje mi się, że się pan myli – powiedział po chwili Leinen. – To, co zrobił Meyer, zawsze było obiektywnie okrutne. To, że w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych sędziowie rozstrzygnęliby proces na jego korzyść, niczego nie zmienia. A jeśli dziś zrobią inaczej, znaczy to tyle, że robimy postępy.

– Właśnie o tym mówię, Leinen, duch czasu. Wierzę w ustawy, a pan wierzy w społeczeństwo. Na koniec zobaczymy, kto ma rację. – Adwokat uśmiechnął się. – Ja w każdym razie jadę teraz na wakacje, nie mam już siły na ten proces.

Przed drzwiami przy samochodzie czekał kierowca Mattingera.

– Wie pan, że Johanna Meyer zwolniła wczoraj prawnika wewnętrznego Baumanna? Była naprawdę oburzona, kiedy dowiedziała się, że ten idiota chciał pana przekupić. – Mattinger wszedł do auta, kierowca zamknął za nim drzwi. Opuścił okno. – Jeśli po procesie wciąż będzie pan chciał być obrońcą, Leinen, niech pan przyjdzie do mnie. Chętnie zostanę pańskim współnikiem.

Samochód odjechał. Leinen spoglądał za nim, dopóki ten nie zniknął pośród innych aut.

Było już widno, kiedy Leinen się obudził. Dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na mały balkon stały otwarte. Zegar wskazywał siódmą, za dwie godziny zacznie się dziesiąty dzień procesu. W krótkich spodenkach i koszulce Leinen poszedł do kuchni, zaparzył kawę i zapalił papierosa. Przyniósł z korytarza gazetę, założył płaszcz i usiadł z filiżanką na tarasie.

Kiedy około dziewiątej na sali zjawił się strażnik, powiedział mu, że rozprawa zacznie się dopiero o jedenastej, takie miało być zarządzenie przewodniczącej. Leinen wzruszył ramionami, toę i akta położył na swoim miejscu i z samą aktówką poszedł do Weilers. Wiatr wciąż był chłodny, ale dawało się już siedzieć na zewnątrz. Przy jego stoliku stanął jakiś dziennikarz. Głośno rozmawiał przez telefon z redakcją, mówił, że początek procesu został przesunięty, nie wiadomo dlaczego, podejrzewa nowy wniosek obrony. Leinen był zadowolony, że mężczyzna go nie rozpoznał. Przyglądał się ludziom idącym do sądu: oskarżonym, świadkom, szkolnej wycieczce z nauczycielem. Jakiś taksówkarz rozmawiał z policjantem o tym, czy może zaparkować przed głównym wejściem. Leinen przesunął ręką po miękkiej skórze swojej aktówki, była poplamiona i pęknięta w dwóch miejscach. Ojciec podarował mu ją z okazji egzaminu. Po wojnie dziadek Leinena kupił ją podobno w Paryżu, miała być tak droga, że jego babcia aż się przeraziła. Zakup jednak się opłacił, dziadek powoli dorastał razem z teczką. „Porządna teczka dodaje pewności siebie!”, powtarzał ciągle.

Krótko przed jedenastą Leinen ponownie wszedł na salę rozpraw. Ławka dla oskarżycieli posiłkowych była pusta. Leinen spojrzał za siebie na szklane pomieszczenie.

– Gdzie jest mój klient? – zapytał strażnika. Mężczyzna w szaroniebieskim mundurze potrząsnął głową. Leinen miał go już zapytać, co się stało, kiedy przewodnicząca składu sędziowskiego pojawiła się.

– Dzień dobry – powiedziała. – Proszę usiąść. – Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle. Stojąc, czekała, aż strony procesu, dziennikarze i publiczność się uciszą.

– Pani przewodnicząca, mój klient nie jest obecny, nie został jeszcze doprowadzony. Nie możemy zacząć – powiedział Leinen.

– Wiem – powiedziała do niego cicho, prawie delikatnie. Potem zwróciła się do stron procesu i zgromadzonej na sali publiczności: – Zeszłej nocy

w swojej celi oskarżony Fabrizio Maria Collini odebrał sobie życie. Lekarz medycyny sądowej stwierdził jego zgon o drugiej czterdzieści. – Poczekala, aż informacja dotrze do wszystkich. – Mam w związku z tym do ogłoszenia następujące postanowienie: postępowanie przeciw oskarżonemu zostaje umorzone. Koszty i inne konieczne wydatki poniesie skarb państwa.

W pewnej chwili upadł komuś długopis i potoczył się po podłodze, był to jedyny dźwięk na sali. Protokolantka zaczęła pisać. Przewodnicząca czekała. Potem powiedziała:

– Panie i panowie, posiedzenie Dwunastej Wielkiej Izby Karnej zostaje tym samym zamknięte. – Sędziowie i ławnicy wstali niemal równocześnie i opuścili salę rozpraw. Wszystko odbyło się szybko. Prokurator naczelny Reimers potrząsnął głową i zapisał coś w aktach prokuratorskich.

Dziennikarze wybiegli z sali, żeby dzwonić do redakcji gazet, rozgłośni radiowych i stacji telewizyjnych. Leinen został na swoim miejscu. Przyglądał się pustemu krzesłu, na którym zawsze siedział Collini, materiał na bokach był wytarty. Jeden ze strażników podał Leinenowi kopertę z napisem „korespondencja oskarżonego z obrońcą”. Nie została jeszcze otwarta.

– Od pańskiego klienta, leżało na stole – powiedział strażnik.

Leinen otworzył kopertę. W środku było tylko jedno zdjęcie, mała czarno-biała fotografia, pogięta i wyblakła, z karbowaną obwódką. Dziewczynka na zdjęciu miała może dwanaście lat, ubrana była w jasną koszulę i wpatrywała się intensywnie w obiektyw aparatu. Leinen odwrócił je. Z tyłu niezgrabnym pismem jego klienta napisane było: *To jest moja siostra. Przepraszam za wszystko.*

Leinen wstał, przesunął ręką po oparciu krzesła i spakował swoje rzeczy. Boczny wyjściem opuścił sąd i pojechał do siebie.

Johanna siedziała na schodach przed jego domem, postawiła kołnierzyk cienkiego płaszcza i z przodu przytrzymała jego końce. Jej dłoń była biała. Leinen usiadł obok niej.

– Czy i ja taka jestem? – zapytała. Jej usta drżały.

– Jesteś tym, kim jesteś – powiedział.

Przed domem na placu zabaw dwoje dzieci kłóciło się o zielone wiaderko. Za parę dni zrobi się cieplej.

Aneks

Brzmienie § 50 Kodeksu Karnego do 30 września 1968 roku:

(1) Jeśli w popełnieniu czynu brała udział więcej niż jedna osoba, każdy ze współdziałających w popełnieniu czynu zabronionego odpowiada niezależnie od odpowiedzialności pozostałych współdziałających.

(2) Jeśli ustawa stanowi, że szczególne cechy bądź okoliczności osobiste zaostrzają, łagodzą lub wyłączają odpowiedzialność karną, wtedy uwzględnia się je tylko co do osoby, której dotyczą.

Art. 1 nr 6 Przepisu Wprowadzającego do Ustawy o Wykroczeniach wszedł w życie 1 października 1968 roku (Federalny Dziennik Ustaw I, 503). Po tym czasie § 50 Kodeksu Karnego obowiązywał w poniższym brzmieniu:

(1) Jeśli w popełnieniu czynu brała udział więcej niż jedna osoba, każdy ze współdziałających w popełnieniu czynu zabronionego odpowiada niezależnie od odpowiedzialności pozostałych współdziałających.

(2) Jeśli w przypadku współdziałającego brak szczególnych właściwości, warunków czy okoliczności osobistych (szczególnych cech osobistych), które uzasadniałyby karalność jak w przypadku sprawcy, wtedy wobec współdziałającego stosuje się złagodzenie kary zgodnie z przepisami jak za usiłowanie.

(3) Jeśli ustawa stanowi, że szczególne cechy osobiste zaostrzają, łagodzą lub wyłączają odpowiedzialność karną, wtedy uwzględnia się je tylko co do osoby, której dotyczą.

Dziękuję Klausowi Fringsowi. Bez jego pomysłów i kwerend nie mógłbym napisać tej książki.

W styczniu 2012 roku, kilka miesięcy po ukazaniu się tej powieści, Minister Sprawiedliwości powołała komisję do zbadania nazistowskiej przeszłości w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Przekład: Anna Kierejewska

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Filip Modrzejewski

Korekta: Natalia Kraszewska, Katarzyna Humeniuk

Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki: Szymon Wójciak na podstawie projektu Kornelii Rumberg,
rumbergdesign.de

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Taxi / Getty Images / Flash Press Media

Zdjęcie Ferdinanda von Schiracha: © Piper Verlag, autor: Paulus Ponizak

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7a

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10

wab@wab.com.pl

wab.com.pl

ISBN 978-83-7881-011-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)

i Michał Nakoneczny / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow



Ferdinand von Schirach (ur. 1964)

Prawnik i pisarz, mieszka i pracuje w Berlinie; debiutował w 2009 roku. Wydał dwa bestsellerowe zbiory opowiadań *Przestępstwo* (W.A.B. 2011) i *Wina* (W.A.B. 2012). Powieść *Sprawa Colliniego* jest dużym wydarzeniem literackim w Niemczech, tytułem tak głośnym jak *Lektor* Bernharda Schlinka. Książki von Schiracha ukazą się w kilkudziesięciu krajach.

Ostatnio Ferdinand von Schirach opublikował zbiór kameralnych i nastrojowych próz pt. *Carl Tohrbergs Weihnachten* (2012).

Strona prawnika i pisarza: schirach.de

Spis treści

Motto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

Aneks

Podziękowania

Uzupełnienie

Biogram autora